

ALLELUJA!

Różczką wiosny tknięta ziemia
Zrzuca twarde jarzmo z siebie,
Żadna zima sił żywotnych
Nie zagrzebie,
Słońce ciepłym blaskiem grzeje,
W wietrze dziwne dźwięczy granie,
Coś — jak gdyby chciało szeptać:
„Zmartwychwstanie.“

Niegdyś — od tej smutnej chwili
Upłynęło już lat krocie,
Ukrzyżowan był Syn Boży
Na Golgocie.
Wzięła górę złość i zbrodnia,
Ale wkrótce, niespodzianie
W jakąż trwogę ją wprawiło
„Zmartwychwstanie.“

Złość i zbrodnia na tej ziemi
Z dawna rządy swoje wiodła;
Albo może.. czy przepadły
Dziś ich godła?
Lecz na próżno tak pokornie
Biegnie świat przy ich rydwanie,
Przyjdzie czas — że sprawiedliwość
„Zmartwychwstanie.“

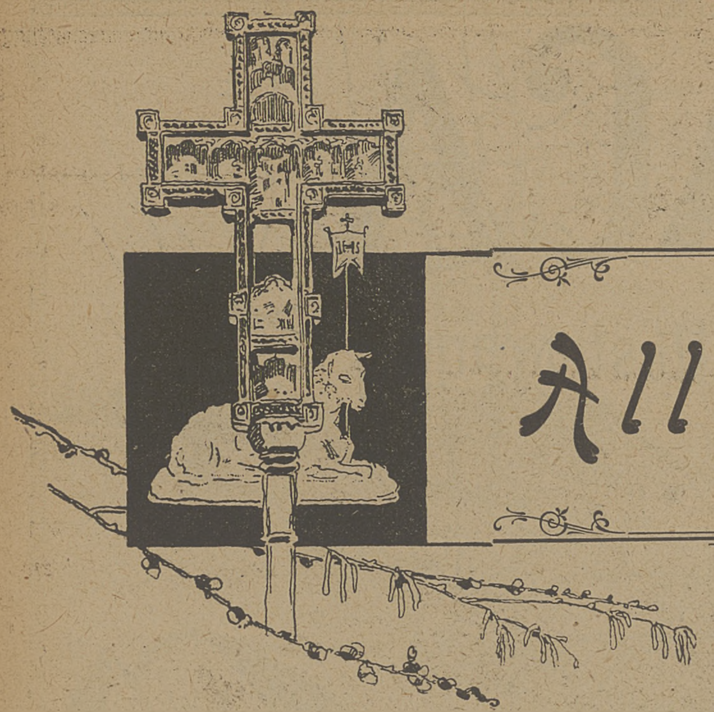
Pod jej mieczem padnie ścięte,
To co dziś się bujnie pleni
I odrzucą jarzmo z karku
Przygnębieni...
Jako zorza, co blask ciska
Na ponury mrok w zaranie,
Podeptana prawda z mogił
„Zmartwychwstanie.“

Zadrzą tedy przed jej wzrokiem
Pionierzy „prawa pięści,“
Którym na ludzkości szkodę —
Dziś się szczęści.
Odrodzona znów na duchu,
Aby spełnić swe zadanie
Broniąc dobrej sprawy — ludzkość
„Zmartwychwstanie.“

Więc bez trwogi w przyszłość patrzcie
Wy bez winy uciśnieni,
Trwajcie w dobrem, *trwajcie w pracy,*
Czas się zmieni.
Byle nie paść łupem trwogi,
W praw swych słusznych zaprzedanie
Byle wytrwać — reszta sama
„Zmartwychwstanie.“

Lwów, 15. 4. 1900.

A. St.



Alleluja!

Alleluja! wybiega dziś okrzyk z milionów piersi ku uwielbieniu Zmartwychwstałego. To nie symbol ani figuryczne porównanie, lecz fakt stwierdzony artykułem wiary.

Ten umęczony za grzechy świata na krzyżu, Odkupiciel nasz, trzeciego dnia po swym zgonie, jak przepowiedział, Zmartwychwstał. Resurexit sicut dixit...

I jak wówczas garść pierwszych wyznawców Kościoła Chrystusowego radosną wieść rozniosła po świecie, tak i teraz, w święto Zmartwychwstania, od miasta do miasta, od sioła do sioła, od chaty słomianą strzechą krytej do wspaniałego pałacu magnata rozbrzmiewa nuta pieśni: „Wesoły nam dziś dzień nastał“...

Ileż w tym jednym wyrazie „Zmartwychwstanie“ mieści się radości, pociechy, uwielbienia i nadzieji!... Bo jak dalej pieśń wielkanocna głosi „śmierci wiecznej nas zbawił“ i „żywot nam naprawił“, Zaiste, czy może być coś straszniejszego, coś bardziej rozpaczą bezgraniczną przejmującego jak owa „śmierć wieczna“...

Ale w czyjem sercu płonie światło wiary w Prawdę Wiekuistą i Sprawiedliwość Bożą, ten się nie lęka „śmierci wiecznej“ — ten wie, że po Odkupieniu następuje Zmartwychwstanie...

My z tą wiarą niezłomną, której nic wobec potęgi Krzyża obalić nie może, wyciągamy do Was, Czytelnicy Drodzy, dłoń bratnią, i zasyłając w progi Waszych ognisk rodzinnych w dzień Zmartwychwstania Pańskiego wiekową tradycyą uświęcone życzenia wszelakich pomyślności, łączymy się z wszystkimi w jednym, radosnym okrzyku: „Alleluja!

* * *

Alleluja!

W świątyni gromadzi się tłum pobożnych i czeka w skupieniu.

Tam do symbolicznego grobu spłynęły już anielskie postacie: Wiary, Miłości i Nadzieji.

Pierwsza pochyliwszy się, powiada: „Nie umarł, spoczywa tylko.“

Miłość okrywa pocałunkami Bozkiego Męczennika i rzecze:

„Któryś cierpiał za nas rany, zmiłuj się nad nami“.

A Nadzieja podnosi gałązkę oliwną i ukazując na chóry Cherubinów, woła: „Alleluja“.

I w oka mgnieniu zapalają się światła, kołyszą się kadzielnice, unoszą się wonne dymy, brzmią organy i dźwięczą dzwony, a z tysięcy piersi wydobywa się okrzyk:

„Resurexit sicut dixit...“

I zda się od tych głosów drgają mury świątyni, a radosna wieść biegnie od chaty do chaty, od sioła do sioła i od grodu do grodu, powtarzając wszędzie:

„Zmartwychpowstał“!

O zaiste, jakież to potężne słowo: „zmartwychwstanie“....

Ono śmierć zwycięża, w przygasłem od łez oku zapala piorunowe błyski i w sercu roznieca płomienie, a w duszy budzi wiarę w lepszą przyszłość, w zbawienie...

Alleluja!

* * *

Alleluja!

Jakże błogie uczucie ogarnia każdego chrześcianina na dźwięk tych wyrazów, oznaczających świętą przez Kościół ustanowioną rocznicę chwili, gdy Jezus Chrystus poświęciwszy się za grzechy człowiecze, umęczon pod Pontskim Piłatem, trzeciego dnia zmartwychwstał, zawstydzając złość ludzką...

Wielkanoc, święto rodzinne, kiedy każdy nawet maluczki, nawet ten, który w pocie krwawym jako wyrobnik przez rok cały pracował na kawałek chleba, u boku gromadzi swoich, albo do swoich się garnie — takie święto musi budzić w sercu każdego tysiące wrażeń rzewnych.

I gdy dzielimy się jajkiem święconem, gdy składamy sobie wzajemne życzenia — oglądamy się dokoła siebie, liczymy tych, co spoczęli w grobach po dłuższej lub krótszej, a wspólnej z nami wędrówce doczesnej, z nadzieją natomiast spoglądamy na głowy drugich, którzy nas otaczają i oby jak najdłużej otaczali w zdrowiu fizycznem, w zdrowiu moralnem.

Wielkanoc!

Przypominamy sobie nauki, oraz rady, udzielane nam przy jajku święconem przez rodzica, gdy jeszcze małemi byliśmy dziećmi.

Przypominamy sobie ową Wielką Sobotę, gdyśmy z ciekawością przez drzwi odemknięte spoglądali na stoły, zastawione mięsiwami oraz ciastem.

Dreszcz nas lekki przebiega, kiedy na strunach pamięci ozwie się wspomnienie pierwszej Rezurekcyi, na którą nas zaprowadzono, wspomnienie wielkiej, mrocznej w górnej połowie mimo tysięcy świec świątyni gotyckiej, pełnej tłumów rozmodlonych, śpiewów uroczystych, odgłosu poważnego dzwonów i dzwonków, chrzęstu kadzielnic, światła jarzącego. A wszystko to: śpiew kapłanów, jęk oraz westchnienie dusz pobożnych, dym kadzideł, blask świec, obłokiem pary przysłonięty, głos dzwonów, zmięszane pospołu, tworząc niejako jeden hymn potężny, wspaniały, porywający, ku czci Najwyższego biegnie pod tonące w cieniach czarnych łuki sklepień, śmiało przed wiekami ręką ludzką wzniesionych.

Gdy więc po przepędzonym w skupieniu Wielkim Tygodniu — w pierwsze Święto będziecie, Czytelnicy kochani, w swem kółku przyjmowali, oraz składali życzenia, zechciejcie przyjąć życzenia świąt wesołych i od „Pracy“, jako od gościa, od serdecznego przyjaciela raczej, który już czwartą uroczystość wielkanocną z Wami wspólnie obchodzi i co tydzień przez rok cały, przez cztery lata całe stale do Was zagląda, by nieść w zanadrzu oświatę, naukę i rozrywkę.

A zatem: wszystkiego najlepszego! Alleluja!

Redakcya „Pracy“.

Wielkanoc.

Atoż i Wielkanoc... Dzwony, co na znak smutku i żałoby milczały tak długo, odezwały się znowu swym dźwięcznym, donośnym głosem, i zwiastując radosną nowinę, biegnie ich echo w świat daleki, w świat szeroki...

Wielkanoc — to jak przebudzenie się po długim śnie, to jak świtanie po długiej nocy. Ustąpcie czarne chmury smutku, zniknij okryty kirem żałoby wysłańcze nędzy i śmierci, bo zawitał dzień tryumfu nad śmiercią, a świat cały rozbrzmiewa echem wielkiej nowiny.

Żadne święto chrześcijańskiego świata nie kryje tak głębokiej myśli, nie jest tak podniosłym symbolem, co święto Wielkiej Nocy. Dla dziecka i dla mędrca jednakowo przystępna jest prawda, którą ono wyobraża; a prawda ta — to zapowiedź, że wszystko, w czem jest tchnienie Boże, w czem jest iskierka ducha Bożego, pomimo pozornej śmierci z grobu powstać może i ku stokroć świetniejszemu życiu wzbić się potrafi. Ta tlejąca gdzieś z ukrycia iskra ducha Bożego wyprowadzi z ciemności zbłąkaną rzeszę ziemskich wędrowców i wskaże im drogę, po której krocząc, dojdą wreszcie do upragnionego celu, witani okrzykiem „Alleluja!“

Ta iskierka ducha Bożego wyprowadzi wreszcie z długiej niewoli i narody, pozbawione przez wrogów wszystkich praw swych; ona wśród ciemnej nocy, wśród nawałnic i burz wlewać będzie nadzieję w serca zwątpiałych i szeptać im będzie słowa: „Wytrwajcie! Bo przyjdzie i dla was jutrzenka zmartwychwstania...“

Nie wszystko, co do grobu złożono — umarłem jest. Nie wszystko, co przez świat na śmierć skazane zostało — umierać musi: — taką jest nauka tego pełnego podniosłych mysteriów tygodnia zwanego „Wielkim“ i dnia Zmartwychwstania.

W imię tej wielkiej prawdy uwierzyć można w ostateczny tryumf sprawiedliwości nad brutalną przemocą; uwierzyć trzeba, że obudzą się uczucia ludzkości i pojednania nawet w sercach tych, u których pozornie już dawno zamarły; uwierzyć wreszcie trzeba, że iskierka ducha Bożego, która w każdej piersi ludzkiej drzemie, zbudzi się wreszcie kiedyś, choć tak przytłumiona była poziomością dążeń i czynów, że na pozór zgasła... Ale ona się przebudzi, ona zmartwychpowstanie!

Iluż to ludzi wśród naszego najbliższego otoczenia, wśród naszego społeczeństwa, zgasiło w swem sercu tę iskierkę Bożą miłości ojczystego kraju, którą im z woli niebios do ich zdolności i sił dodano! Zgasili oni w sobie uczucie miłości ojczyzny, stali się obojętnymi dla rodaków, nieprzychylnymi dla sprawy, nieczułymi na głos smutku i bolu, co się z piersi ciemiężonych współbraci wydobywa. Uganiają się oni za majątkiem, posadą, orderem, tytułem, — i każdym swym czynem, każdem dążeniem, każdą myślą gaszą tę mdłą iskierkę, co gdzieś tli jeszcze w ich sercu.

Ale jej nie zagaszą! Bo iskra miłości Ojczyzny — to iskra Bożego Zmartwychwstania i zabłyśnie jasnem światłem, zamiast zagasnąć. Ockną się te dusze wyziębione poziomemi celami, zapłoną miłością Ojczyzny, staną się gotowe do ofiarności w imię sprawy, ukochają rodaków serdecznie, gorąco, — staną się wiernymi synami Ojczyzny.

Tę wielką nadzieję czerpiemy z nauki, którą nam święto dzisiajsze nastręcza. Ta nadzieja nas krzepi, w tem naród nasz ukojenia i siły szuka. Wrócą się krajowi, wrócą narodowi ci wszyscy zbłąkani, obojętni, wynarodowieni, bo się przebudzi w nich iskierka ducha Bożego i przyprowadzi ich na łono Matki najlepszej, która wszystko przebacza — *Ojczyzny Polski.*

O takie zmartwychwstanie ducha u wszystkich obojętnych prosimy Cię, Panie! *A. Z.*

Wydziedziczeni.

Silne wrażenie zrobiła niedawno wiadomość, że Polacy w Westfalii postanowili na wiecu, zwołanym w sprawie polskiej opieki duchownej, wysłać do zwierzchności duchownej rezolucyę, która nietylko swą ostrą formą, ale i treścią, zawierającą poniekąd groźby, świadczyła wymownie, że stosunek Polaków westfalskich do ich duchownej władzy nie jest takim, jakim być powinien. W tonie i w treści odezwy nie brzmiała, niestety, nuta synowskiego przywiązania i poszanowania; ale i — z drugiej strony — rezolucyom władzy duchownej brakło względem Polaków tych dowodów serdecznego, ojcowskiego uczucia i ciepła, jakiem kościół nasz zwykł swej opiece oddane dusze otaczać.

Ubolewaliśmy wraz z innemi organami opinii publicznej nad samym faktem, a bardziej jeszcze nad rozłamem, którego fakt ten wymownym był objawem. Lud polski na obczyźnie szuka naturalnym trybem rzeczy opieki u władzy duchownej; bez tej opieki zejść może na manowce — dbać więc o nią i szukać w niej moralnej podpory wśród obcego społeczeństwa powinien.

O ile każdy czujący niedolę naszego biednego ludu człowiek przyzna, że domaganie się opieki duchownej w ojczystym języku jest zupełnie naturalnem, o tyle znów każdy ubolewać musi nad potar-

ganiem tradycyjnego stosunku wychodźców polskich w Westfalii do ich niemieckich duszpasterzy — stosunku, który powinien się opierać na wzajemnem zaufaniu i serdeczności.

Fakta jednak mówią, a mowa ich jest zbyt dobitną, abyśmy mieli rzucać kamieniem potępienia na tych, co zamiast synowskiego przywiązania, poddania i prośby — stanęli z wyrzutem i groźbą na ustach przed swą zwierzchnością duchowną. — W tych wyrzutach i w ostrej formie my widzimy nie chęć sprzeciwiania się woli zwierzchności, lecz gorycz i ból, gorycz i łzy, łzy i żal...

Bo w istocie oni jedni czują się wydziedziczeni w Państwie Chrystusowem, w którem wszyscy są równi, wszyscy jednakowe mają prawa... Oni jedni wiedzą, że brak kapłanów mówiących po polsku, albo się przyczynia do rozluźnienia węzłów łączących lud z *wiarą* ojców, albo wplata go w tryby maszyny germanizacyjnej, odbiera narodowość, każe zapominać *mowy ojców*...

Uczucia żalu i goryczy, że w Państwie Chrystusowem mają dostęp wpływy polityczne, a dążności germanizacyjne rządowych sfer znajdują poparcie — choćby tylko bierne — w pewnej części niemieckiego duchowieństwa, mającego styczność z naszymi wychodźcami — uczucia te zaczynają się przejawiać w rozmaitych stronach, wszędzie z jednakową występując siłą, jakkolwiek, na szczęście, nie wszędzie w jednakowo ostrej formie.

W Berlinie odbył się niedawno wiec w sprawie opieki duchownej dla Polaków, a kto dobrze poszuka, odnajdzie z pewnością w rezolucyi przez wiec powziętej echo tej samej nuty, która tak ostro zabrzmiała w podaniu Polaków westfalskich do władzy duchownej.

Rozejrzyjmy się już nie po wychodźtwie, ale po ościennych naszemu Księstwu prowincyach, a ujrzymy wszędzie prawie ten sam zastraszający i złe rokujący nadzieje na przyszłość stosunek ludu polskiego do niemieckiego duchowieństwa.

Oto niedawno na Warmii lud, zgromadzony na nabożeństwie popołudniowem w czasie wielkiego postu, dowiedział się z ambony, że „gorżkich żali“ śpiewać nie wolno, bo na ich miejsce niemieckie pieśni radaby usłyszeć władza duchowna na ustach polskiego ludu. I śpiewano niemieckie... ale nasz lud czuł się boleśnie dotknięty tem wykluczeniem języka ojczystego, który od setek lat odbijał się o mury tamtejszego kościoła. I oto znów westchnienia żalu, poczucie krzywdy, spełnionej na ojczystej mowie, przekonanie, że my, Polacy, systematycznie wydziedziczeni jesteśmy z dóbr najdroższych, jakie naród posiada, uleciało wraz z echem pieśni niemieckich ku tronowi Przedwiecznego. A jeśli na szalę, na której obliczane bywają zasługi i krzywda ludzka, padnie po jednej stronie ta narzucona modlitwa niemiecka, a po drugiej — skarga tajemna wydziedziczonych, to cóż przeważy?

W Gdańsku, jak pisze „*Pielgrzym*“, starano się, aby miejscowemu chórowi polskiemu wolno było w kościele śpiewać przed i po kazaniu polskiem polskie pieśni kościelne z towarzyszeniem organów. Proboszcz odmówił — i śpiewacy kółka „Lutni“, którym przeznaczono miejsce gdzieś w kącie pod chórem, musieli śpiewać bez akompaniamentu organów, które tylko dla niemieckich pieśni używane być mogą.

Lecz choć pieśń niemiecka wśród dźwięku i huku organów ulata ku niebu, a pieśń polska jako rzewna skarga krzywdy wyrządzonej słabem się echem odbija o sklepienie kościelne, zapewne stanie się z niemi tak, jak z ofiarą bogacza i wdowim groszem biednej wyrobnicy. Ten wdowi grosz, ta skarga wydziedziczonych przedrze się przez dźwięki najhuczniejszych organów; nie zgłuszy jej nic i dojdzie ona przed tron Tego, który w dusze zagląda — i świadczyć będzie za ludem krzywdzonym... Wydziedziczeni, tacy jak my, wyjdą wreszcie zwycięzko z burz, które im świat gotuje i do dziedzictwa swego powrócą — bo słuszność i prawo są po ich stronie.

Vester.

Z pamiętnych chwil.

VI.

W obozach wielkie wzburzenie przeciw komitetowi wogóle o zawarciu ugody, w Jarosławcu w szczególności szerzyli zarówno emigranci, którzy przywykli w wojnie, a nie w układach, widzieć zbawienie, jak i rzemieślnicza młodzież miejska więziona długi czas przez Prusaków przed wybuchem rewolucyi. Szczególniej zaś trudnym do okiełznania żywiołem opozycyjnym byli emigranci z Królestwa, majętni obywatele ziemscy i młodzież, która na pierwszą wieść o powstaniu pobiegła do Księstwa, aby stanąć w szeregach ojczystych; ci wszyscy bardziej niż kto inny mieli powód do opozycyi przeciw wszelkim układom.

Pomiędzy prostym ludem na razie tajone, potem coraz jawniej występujące okazywało się oburzenie na „panów.“

Krotowski-Krauthofer o mało rewolucyi obozowej nie wywołał, oderwawszy wreszcie od obozu wrzesińskiego oddział jeden, do Miłosławia ruszył. Garczyński starał się doprowadzić obóz do porządku tłomacząc treść zawartej konwencyi. Lecz każda argumentacya natrafiła na jednę i tę samę odpowiedź ze strony ludzi: „Jak tylko od samego początku dowódcy nasi zaczęli traktować i frymarczyć z Prusakami, byliśmy pewni zdrady, i dziś onej skutki widzimy!“

Wszelka karność obozowa uległa zupełnemu rozprzężeniu. Zaczęły się formować luźne bandy, aby użyć przynajmniej tyle wojny — ile jej skosztować można było na rabunku żydów; powstrzymał te zapędy Garczyński przy pomocy księdza Brzezińskiego, kapelana obozowego.

Dnia 13go kwietnia rozpoczęła się redukcya wrzesińskiej siły zbrojnej, mająca doprowadzić do liczby żołnierza, umówionej w konwencyi jarosławickiej. Rozpuszczono do domów część żołnierzy, o czem Garczyński Brandta jako desygnowanego komisarza pruskiego zawiadomił.

Zanim było można obóz do jakiegoś ładu doprowadzić, nowy kłopot pojawił się na horyzoncie, w postaci alarmujących wieści o zbliżaniu się do Wrześni generała Wedla. Wedell odkomenderował generała Hirschfelda, stojącego dotychczas załogą w Gnieźnie. Hirschfeld napotkał w Czerniejewie opór i armatniemi strzałami torował sobie drogę ku Wrześni, stanął wreszcie w odległości $1\frac{1}{2}$ mili od obozu Garczyńskiego.

W tym czasie właśnie zawezwał Willisen Garczyńskiego do pobliskiej wsi Gułtów i tam oświadczył mu, że generał Colomb koniecznie żąda ustąpienia Wrześni dla wojska pruskiego. „Nie przybierając tonu rozkazującego — opowiada Garczyński w swych pamiętnikach — Willisen tłomaczył, że mimo swej władzy musi niekiedy robić ustępstwa władzom prowincyonalnym, oraz że nie narzuca powstańcom wyboru miejsca na obozy polskie, pozostawiając to ich decyzyi.“ Garczyński przyrzekł, że skomunikuje się z szefem sztabu.

Na wieść o osaczeniu Wrześni przez

NA WIELKANOC.

Przez rumiane od świateł portyki
Głąb majaczy i złote ołtarze
Brzmią tłumione akordy muzyki,
Dymem siným wieją trybularze,
A ze smukłej gotyckiej wieżycy
Spiż już huczy po całej ziemicy.

Wsłuchała się ziemia w słodkie granie,
Co jej niosą wielkanocne dzwony,
Spiż dźwięczący mówi: „Zmartwychwstanie!“
Ziemia szepce: „Bądźże pochwalony!“
I przez zmierzchy wiosenne liliowe
Słychać dzwonów i ziemi rozmowę.



ŚWIĘCENIE.
(Teodor Axentowicz).

Podsłuchało serce one głosy,
Uderzyło samo też, jak dzwonek,
I wnet rwie się z echami w niebiosy,
Jak gdzieś z bruzdy spłoszony skowronek,
Matki Bozkiej Najświętszej to ptaszę,
Co nad niwy wylata, het, nasze.

Jako w cudnej legendzie ludowej,
Pierwszy głosi on serc zmartwychwstanie —
Za cierń jeden Chrystusowej głowy,
Za serdeczną wiarę i kochanie,
Pierwszy wiosnę przeczuwa — i buja
Przez błękity z słodkiem: „Alleluja!“ *B.*

Prusaków Mierosławski przesłał Garczyńskiemu rozkaz odparcia broni bronią, a obóz Miłosławski wystąpił w nocy do marszu ku pomocy napastowanemu.

Tymczasem ruchy wojsk Wedlla pod Wrześnią stawały się coraz groźniejsze. Obóz był w nieładzie, gdy Garczyński powrócił.

Wysłano parlamentarzy, szefa sztabu Władysława Kosińskiego i Ignacego Bnińskiego, którzy mieli kategorycznie zapytać generała pruskiego, czy mają uważać ruchy jego wogóle jako wyzwanie do boju.

Wedell zamiast odpowiedzi zażądał jeszcze raz Wrześni jako garnizonu dla wojsk pruskich, parlamentarzy zaś znieważono.

Pokaleczono ich kamieniami i drągami i tylko dzięki rączości swych rumaków cało uszli z życiem.

„Oburzenie wywołało chęć zemsty“ pisze Garczyński o owej chwili, lecz chęć ta w conajmniej dziwnej objawiła się formie: u dowódcy w postaci opuszczenia Wrześni na łaskę nieprzyjaciela, u żołnierzy, co jest zresztą już łatwiej zrozumiałem — w postaci awantur z żydami. Obóz, który można było jedynie wydaniem hasła do boju zespolić, uległ kompletnemu rozprzężeniu. Spodziewając się 15go nad ranem ataku wojsk pruskich, zdecydował się Garczyński w nocy opuścić Wrześnię.

Gdy o świcie obóz Miłosławski znajdował się już na drodze do Wrześni, Mierosławskiemu wręczono list od szefa sztabu Wrzesieńskiego, donoszący mu, że Garczyński upoważniony przez pełnomocnika Komitetu, zawarł układ, w skutek którego wydawszy miasto Prusakom, przenosi się do Nowego-Miasta nad Wartą.

Wymarsz nocny był tak nagły i nierozważny, że nawet magazyny, w których między innemi było samego zboża przeszło 1000 wierteli, porzucił Garczyński na łup nieprzyjaciela, który, jak się pokazało, nie miał wcale rozkazu atakowania Wrześni. Ucieczka z Wrześni do Nowego-Miasta — bo trudno inaczej nazwać tę rejteradę — dużo kosztowała: bo zaledwie z 500 żołnierzy stanęło w Nowem-Mieście, reszta gdzieś się rozbiegła, była zresztą rozruchami obozowemi tak zdemoralizowana, że trudno ją było uznać za materyał zdatny do tworzenia regularnych kadrów. I tak więc, zdziesiątkowany bez bitwy, pozbawiony żywności i furażu, którym nie tylko siebie ale i Książki obóz miał zasilać, stanął Garczyński w Nowem-Mieście, a obóz z Książa musiał mu furami żywność dowozić.

Nagły swój odwrót z Wrześni tłomaczył później Garczyński tem, że, zdaniem jego, pozycya we Wrześni niekorzystną była do przyjęcia bitwy.

Po zajęciu Wrześni wojsko pruskie, mianowicie dwie kompanie 6go pułku szlązkiej landwery, dopuściło się gwałtów na mieszkańcach miasta. Widząc wchodzące wojsko pruskie żydzi okna w domach polskich wybijali. Otoczono pałac Edw. hr. Poninskiego. Na szczęście hr. Poniński zdołał umknąć pieszo do poblizkiej wsi. Żołnierze tylko żonie jego przykładali bagnety do piersi, żądając wydania broni. Prusacy uważając się za zwycięzców, obchodzili się z mieszkańcami jak zwycięzcy z buntownikami.

Dr. Kazimierz Rakowski.

ODEZWA.

Z dniem 6-go maja rb. upływa z górą lat 40, jak najzasłużeńszy wobec ludu polskiego mąż rozpoczął swój zawód literacki.

Tym czcigodnym mężem jest

Józef Chociszewski,

którego imię tak daleko jak język polski rozbrzmiewa, okryło się sławą i bezgraniczną czcią.

On to rzeczywiście doczekał się tej pociechy, której to tak gorąco nasz nieśmiertelny wieszcz — Adam Mickiewicz — pragnął: jego dziełka bowiem — a śmiemy to twierdzić z całą stanowczością — znajdują się dziś w każdej polskiej strzesze, a nauki w nich zawarte stały się potężną podwaliną oświaty a tem samem dobrobytu narodowego.

Józef Chociszewski jest ojcem i nauczycielem naszego ludu, on go nauczył czytać, pisać, kochać Boga, kościół święty, ziemię ojczystą i narodowość polską.

Choć sam w dobra doczesne nie opływa, to jednak wszędzie i zawsze nie tylko duchowym ale i cielesnym pokarmem sycił i syci zgłodniałe sieroty polskie. Ile gorzkich łez niedoli i smutku otarła już dobroczynna ręka jego!

On dobroczyńcą ludu polskiego!

Wszędzie, gdzie chodziło o dobro naszego narodu, tam zawsze czcigodny jubilat spieszył w szeregi jako szermierz i słowem i piórem pouczał, zachęcał i podnosił ducha ludu polskiego, wskazując mu zawsze prostą drogę mającą go doprowadzić do pożądanego celu. A kiedy widział jak duchy wrogie potomków Lecha gnębili i gnębią, gdy widział niebezpieczeństwa, jakie braciom naszym zagrażają, wtedy otwarcie występował w obronie praw uciśnionego narodu polskiego, nie lękając się nawet więzienia, którego osiem razy — w całości trzy i pół roku — z tego powodu skosztować musiał.

On więc obrońcą ludu polskiego!

To też teraz, kiedy się zbliża ta tak rzadka w życiu literatów uroczystość jubileuszowa, to też z pewnością cały naród polski ze swemi życzeniami do tego czcigodnego

jubilata—seniora

pospieszy, by mu w dniu jego literackich złotych godów złożyć hołd wdzięczności, czci i szacunku za dobrodziejstwa sobie i potomnym pokoleniom świadczone.

Aby zaś też cały naród polski mógł rzeczywiście w tej tak wielkiej uroczystości wziąść udział, przeto stanęła uchwała, aby w dniu jubileuszu wręczyć czcigodnemu seniorowi literatów od całego społeczeństwa polskiego

upominek narodowy.

W tym celu odzywamy się do wszystkich braci naszych, gdziekolwiek się oni rozproszeni na kuli ziemskiej znajdują, aby na upominek ten każdy — czy biedny, czy bogaty — złożył co najmniej 10 fenygów na ręce redakcyi „Lecha“ Gniezno (Gnesen), abyśmy w dniu jubileuszu wręczyć mogli w imieniu wszystkiej braci naszej jubilatowi-seniorowi jemu przekazany upominek.

W każdej gminie i miasteczku znajdzie się jaki prawdziwie życzliwy rodak, który się zbieraniem tej składki zajmie i na oznaczony czas takową do naszej redakcyi prześle.

Tuszymy sobie, że żaden Polak katolik nie uchyli się od okazania w dniu jubileuszowym swej czci i wdzięczności temu zasłużonemu mężowi, czcigodnemu Józefowi Chociszewskiemu.

NB. Dzień jubileuszowy nie zamyka składek.

Gniezno, dnia 25 marca 1900.

Komitet jubileuszowy.

X. Piotrowicz Jan. Antoni Karpiński. Tymoteusz Kosicki. Klemens Kosicki. Wł. Kotliński. Jan Wiśniewski. Adam Janowski. T. Theurich. Radzca dr. Wieczorek. Dr. Czarnecki, Dr. T. Ulatowski. W. Melcer. Paliński, redaktor. Bolesław Kasprowicz. Zbigniew Święcicki. X. Kiełczewski Karol. X Kazimierz Klein. Wacław Michałkiewicz. Stanisław Michałkiewicz. Kazimierz Rękosiewicz. Stefan Polcyn. Jan Ludwig. Kazimierz Piskorski. T. Danecki. St. Żychliński. A. Skalski. Leon Żychliński. J. Stankowski. Karól Ptschyody. Jan Godyński. S. Frankenberg.

(Odezwę powyższą popieramy jak najgoręcej i wzywamy Czytelników naszych do obfitych składek. — Przyp. Redakcyi „Pracy“.

Z TYGODNIA.

Szczęście w wojnie, którem po długich niepowodzeniach zaczęli się szczycić Anglicy, znów się zaczyna od nich odwracać, a powraca do Boerów, których bohaterskiego oporu nie zdołała nawet osłabić śmierć ich dowódzcy Jouberta. Z niezwykle trafną decyzyą uznali oni, że Anglików należy zaczepić w ich włas-

nych obozach i tej też się chwycili taktyki. Angielski generał Roberts wypoczywał po trudach zdobycia Ladysmithu i wzięcia do niewoli Cronjego i ani myślał o starciu z Boerami, gdy silny oddział ich zaatakował go w głównej kwaterze. Zdawało się na razie, że to chyba jakiś partyzancki oddział, tymczasem dopiero po walce i po doznanej porażce poznali Anglicy, że mieli do czynienia z regularną armią boerską. Roberts nie mógł wcale zataić klęski, jaką poniósł; w następujących słowach rząd swój o zaszłym wypadku zawiadomił: Oddział pułkownika Broadwooda zniewolony był wczoraj opuścić swe stanowisko pod parciem sił nieprzyjacielskich. Stanął nad ranem przy wodociągach miasta Bloemfontein. O świcie zaczęli Burowie ostrzeliwać granatami jego obóz, czem go do dalszego odwrotu zmusili. W odwrocie tym napotkał oddział znaczne siły Boerów, które zmusiły go do poddania się. Opór był niemożliwy. Boerowie zabrali 7 armat, dużo amunicyi i wozy z żywnością — ogółem zaś 350 jeńców. Tymczasem wiadomo, że oddział ten nie 350, ale dwa tysiące ludzi liczył — tylu więc Anglików dostało się zapewne do niewoli. Przy tej sposobności zniszczyli Boerowie wodociągi angielskie w mieście Bloemfontein, tak, że Anglicy pozostali zupełnie bez wody.

Wogóle na całej linii bojowej posuwają się Boerowie naprzód. Wobec tego zdecydował się Roberts wyruszyć z obozów wcześniej, niż pierwotnie zamierzał.

Wroga wszelkiej cywilizacyi wojna Boerów z Anglikami, gdzie chodzi tylko o pieniądz, o prawo posiadania, wywołuje wielkie i uzasadnione oburzenie. Oburzenie to jednak w głowach młodych zapaleńców o anarchistycznych skłonnościach prowadzi do zagrażającego ustrojowi społecznemu fermentu. Wyrazem tego fermentu był zamach, nieudany zresztą, wykonany przez niejakiego Sipido w Brukseli na osobie księcia Walii, angielskiego następcy tronu. Książę jechał do Kopenhagi wraz z żoną. Zaledwie pociąg stanął na dworcu w Brukseli, gdy na stopnie wagonu wskoczył jakiś młody człowiek i dwukrotnie strzelił do księcia. Oba strzały chybiły. Zamach ten bezwątpienia będzie sygnałem do rozmaitych repressalii przeciw anarchistom.

Niepokojące się rozchodzą wieści o położeniu rzeczy w Bułgaryi. Donoszono niedawno, że szerzy się agitacya przeciw księciu Ferdynandowi, a obecnie książę opuścił stolicę swego kraju i udał się zagranicę rzekomo z zamiarami matrymonialnemi, — aby mianowicie przez ożenek z jaką wielką księżniczką rosyjską i przez przyjęcie prawosławia otrzymać poparcie Rosyi. Istotnie też już rząd rosyjski wydelegował tajnego radzcę rosyjskiego do Bułgaryi w celu zreorganizowania finansów bułgarskich. Popobno Czarnogóra i Bułgarya gotowe są poddać swe wojska pod rozkazy rosyjskich dowódzców. Dawałoby to Rosyi ogromną przewagę nad Austryą, rozszerzając jej wpływy aż do Adryatyku.

Wobec nadchodzącej pory odnowienia traktatu handlowego z Rosyą, agraryusze i junkry pruskie są w wielkim kłopocie, radziby bowiem zamknąć swe granice dla zboża z Królestwa i Rosyi, natomiast zaś potrzebują robotnika polskiego, a obawiają się, że Rosya zabroni emigracyi. „Tak więc ci sami panowie, którzy niedawno 40 tysięcy Polaków wydalili z kraju, — pisze jedna z wolnomyślnych gazet niemieckich — będą musieli przymilać się Rosyi, aby raczyła wpuszczać tych samych robotników, bo bez nich rolnictwo pruskie obejść się nie może.“

Tak się mści polityka antypolska i w tem się kryje gorzka ironia losu.

W dniu 2 bm. umarł w Wrocławiu ks. biskup sufragan dr. Gleich. Urodził się 10 września 1815 r. w Laskowicach, 3 mile drogi od Wrocławia. Jako uczeń gimnazyum św. Macieja w Wrocławiu odznaczał się wielkiemi zdolnościami. Święcenia kapłańskie otrzymał 30 września 1838 r. Jako proboszcz pracował lat 9 w Tylowicach, poczem ówczesny książę biskup ks. kardynał Diepenbrock powołał go jako duszpasterza do Opola, gdzie pozostawał do r. 1862. Po śmierci biskupa Włodarskiego został w tym już czasie ks. kanonik Gleich zamianowany biskupem sufraganem i dnia 21 września 1875 otrzymał w kościele parafialnym w Janówcu na Śląsku austryackim od księcia biskupa Förstera święcenia biskupie. Kościół znajdował się podówczas w wielkim ucisku, szalała walka kulturna i ks. biskup musiał przebywać za granicą. Po śmierci księcia biskupa Förstera został ks. biskup Gleich zarządzcą całej dyecezyi i jako jeneralny wikaryusz kapitulny, potwierdzony tak przez Kościół, jak i przez rząd. Na tem stanowisku oddał śp. zmarły biskup wielkie Kościołowi usługi. Dnia 30 września 1888 obchodził 50 letni jubileusz kapłański a w jesieni b. r. miał obchodzić 25-letni jubileusz biskupi, czego już nie dożył, bo podobało się Bogu zabrać go do życia lepszego.

Ks. biskup Gleich mówił po polsku i budował rodaków naszych pięknemi swemi kazaniami, które wygłaszał na wizytacyach pasterskich. R. i. p.

K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Często lubią Prusacy szydzić z tak zwanej przez nich ironicznie „polskiej gospodarki“ i opisywać, jakie to za dawnej Polski smutne stosunki panowały w szkołach. Tymczasem wystarczy dla zbicia tych bredni wskazać na istniejące zaiste opłakane stosunki w szkołach pruskich za dzisiejszych czasów. Po rozbiorze Polski Prusacy urządzili swoje szkoły na wzór, jaki podała polska komisya oświaty ludowej. Dopóki pruskie szkoły na ten wzór były urządzone, dopóty nauka szła jako tako i nie wydawała takich owoców ogłupienia, jak dzisiejsza szkoła pruska. — **„Gazeta Gdańska“** podaje fakt autentyczny, na ilustracyę stosunków, panujących w szkole pruskiej, w jakich to lokalach mieści rząd szkoły katolickie (oczywiście, że nie protestanckie):

„W mieście Wieluniu szkoła katolicka okazała się za szczupłą, więc musiano dla dwóch klas wynająć osobne pomieszczenie. I otóż słuchajcie — w braku innego lokalu pomieszczono dzieci w dawnej sali do tańców w pewnej knajpie. A więc w owej sali uczą się dzieci, a z przodu w knajpie trącają kieliszkami. O wybudowaniu nowego gmachu szkólnego toczą się między rejencyą a gminą miejską rokowania już od sześciu lat, miasto chce dać tyle, ile tylko może na budowę szkoły, a mimo to rejencya szkoły budować nie każe. Zaznaczamy raz jeszcze, że chodzi tu o szkoły dla dzieci katolickich. A teraz małe pytanie? Gdzie dzieci luterskich kolonistów mają szkoły w „tancsalu“ knajpy?“

Nauka w „tancbudzie“ jak najzgubniej oddziaływać musi na młodociane serca i umysły; na tej „opiece“ ojcowskiego rządu najgorzej wychodzą ma się rozumieć dzieci katolickie, bo dzieci protestantów zawsze w porządnych, przyzwoitych szkołach znajdują pomieszczenie.

Niestety stosunki szkólne naszego kraju — to niewyczerpana skarbnica przykładów takiego odmiennego traktowania dzieci polskich a niemieckich.

Podobną, choć w innym rodzaju, sprawę porusza **„Wielkopolanin“** w liście jednego ze swych czytelników:

„Na początku marca udałem się do kolegium szkólnego w Poznaniu z uprzejmą prośbą o przyjęcie pewnego chłopca, ubogich rodziców, do jednego z gimnazyów poznańskich. Moją prośbę tem uzasadniłem, że są pewne widoki, iż ów chłopiec po roku do konwiktu Arcybiskupiego przyjętym będzie, że jednakowoż wpierw taki spełniony być musi warunek: chłopiec musi jeden rok faktycznie uczęszczać do jednego z poznańskich gimnazyów. Na to podanie otrzymałem dn. 20. marca następującą lakoniczną odpowiedź, którą dosłownie przytaczam:

„Die hiesigen Gimnasialdirektoren sind nicht in der Lage, den . . . . . aufzunehmen.

(Tutejsi dyrektorzy gimnazyalni nie są w możności . . . . . . przyjąć.)

„Wszakże konwikt Arcybiskupi jest zakładem dobroczynnym, założonym mianowicie dla ubogich chłopców, chcących zostać kapłanami. Lecz jakże z tego do-

brodziejstwa korzystać mogą uzdolnieni ubodzy synowie zamiejscowych rodziców, skoro władze takie stawiają trudności? Przecież dopiero niedawno temu jeden z szanownych posłów naszych wykazał w sejmie, że poznańskie zakłady naukowe nie są przepełnione, przecież petent nie domagał się koniecznie przyjęcia owego chłopca do gimnazyum Maryi Magdaleny, lecz prosił, iżby go do jednego z trzech gimnazyów poznańskich przyjęto — dla czego więc władza takie robi trudności, dlaczego owemu, zresztą uzdolnionemu chłopcu w ten sposób zamyka drogę do stanu duchownego?"

Pan Studt, minister tak troskliwy i dbały o wielką politykę antypolską, taki obrońca sprawy niemieckiej „na kresach" powinien się zainteresować tą sprawą, jako poznańską, — wątpimy jednak, czy nadmierne wysilanie się na mowy przeciw Polakom pozostawi mu dość czasu na rozpatrzenie się w tej sprawie.

Z powodu zbliżających się zapisów do szkół bardzo na czasie jest przypomnienie, które do rodziców Polaków wystosowuje **„Gazeta Ostrowska"**:

„Rodzice, którzy dzieci swe w tym kwartale oddają do szkoły, powinni domagać się, aby nauczyciel lub rektor dopisał do nazwiska dzieci w wykazie szkolnym p. k. czyli Polak katolik. Niechaj rodzice Polscy i katolicy nie pozwalają w żadnym razie na dopisywanie do nazwiska dziecka liter d. k: — znaczy to Deutsch-katolik, czyli Niemiec-katolik. Kto pozwoli na dopisek do nazwiska dziecka d. k. może być pewnym, że dziecko jego przyłączonem będzie do niemieckiego oddziału.

„A jak trudno dziecko z niemieckiego oddziału wydostać, o tem wie każdy.

„Niechaj światlejsi i wszyscy, co trzymają pisma polskie, pouczą mniej światłych a przedewszystkiem tych, co żadnego pisma polskiego dotąd nie trzymają."

Wskazówka ostatnia mianowicie jest nader ważną i trafną; ludzie, umiejący czytać i czytający gazety, mają moralny obowiązek oświecenia pod tym względem ludzi, którzy z gazetą się nie spotykają. Czytelnik polskiej gazety powinien w naszem położeniu politycznem reprezentować gotowy do pracy społecznej czynnik, wytrwale przodujący na polu krzewienia oświaty i politycznej samowiedzy.

Dobrą ilustracyą stosunków na wychodźtwie panujących jest uchwała berlińskiego wiecu polskiego, którą za **„Dziennikiem Berlińskim"** przytaczamy:

„Zebrani na wiecu Polacy katolicy z parafii św. Sebastyana i Serca Jezusowego od dawna zasyłamy do Władzy duchownej prośbę o zaprowadzenie dla licznych w tych parafiach żyjących Polaków nabożeństw polskich. Jesteśmy przekonani, że tylko w języku ojczystym wygłaszane kazania i nauki wpływają z korzyścią na umysł nasz i dzieci naszych i zdołają jedynie zapobiedz szerzeniu się bezreligijności między ludem, narażonym tu właśnie na różnorakie niebezpieczeństwa. Wskutek braku kazań polskich w naszych parafiach musimy udawać się do oddalonych kościołów, aby usłyszeć słowo Boże w jedynie dobrze zrozumiałym nam języku polskim. *Ponieważ ponosimy chętnie ciężary i obowiązki, jakie na nas przynależność do parafii nakłada, przeto prosimy usilnie J. Eminencyą Księcia Biskupa, aby stało się nareszcie zadość potrzebie i pragnieniom naszym,* t. j. abyśmy w naszym kościele parafialnym słuchać mogli kazań w języku polskim. Jesteśmy przekonani, że *Jego Eminencya pragnie tak samo jak my, aby Polacy, żyjący w Berlinie, pozostali wiernymi sługami Kościoła św.* i Jego Eminencyi, i dlatego mamy nadzieję, iż prośba nasza wysłuchaną będzie."

Daj Boże! *B. M.*

Głosy od Przyjaciół.

Marten, w Marcu 1900.

Szanowna Redakcyo!

Muszę też donieść kochanej redakcyi, że nas tu kilku trzyma „Pracę" i jesteśmy bardzo z niej zadowoleni, bo z żadnego innego pisma Polak na obczyźnie nie dowie się tyle o swoim kraju, co z „Pracy", i w żadnem innem nie znajdzie tyle zachęty i wskazówek, jak ratować swą narodowość przed Hakatą. Dlatego też my tu wszyscy bardzo „Pracę" kochamy. Muszę opowiedzieć, że raz zdarzyło mi się: wracam z kościoła w niedzielę, a tu gospodarze moi Niemcy, u których mieszkam, mówią, że „Praca" wcale nie nadeszła. Takem się przeląkł, bom myślał że może tam Hakata znowu co przeciw naszemu kochanemu pismu wymyśliła i tak, martwiąc się, myślę, że to ci Niemcy najgorszych gotowi się chwycić sposobów, aby tylko zniszczyć pismo, które germanizacyi stoi na zawadzie. Ale przychodzi mi do głowy, że to może moi gospodarze chcąc na przekór mi zrobić schowali numer przedemną. Gdy tak rozmyślam, pokazuje się na skręcie ulicy listonosz. Tak się ucieszyłem, jakbym rodzonego brata zobaczył, bom widział, że niesie numer „Pracy" dla mnie. Jak dostanę numer do ręki, to sam nie wiem, z którego końca zacząć, bo wszystko na raz chciałbym przeczytać. I powieści bardzo lubię czytać, ale niemało też czytam z uwagą to co pisze nasz dr. Kazimierz Rakowski o wojnie Polaków z Niemcami, bo to są pamiątki, o których niekażdy wie, a przynajmniej można Niemcowi powiedzieć: Patrz, jak się ci Niemcy obchodzili już 50 lat temu z Polakami, z naszymi ojcami, a od nas teraz wdzięczności żądają.

A teraz muszę cokolwiek o sobie napisać: Mieszkam ja tu u Niemca lutra, ale ja tam z nim nie mam żadnej styczności. Jak zjem obiad, to zaraz idę do swego pokoiku i czytam „Pracę" i „Wiarusa" z Bochum, a w niedzielę bywam w towarzystwach polskich i ze znajomymi się widuję. Polacy powinni zwłaszcza na obczyźnie utrzymywać pomiędzy sobą łączność, bo inaczej toby zupełnie zginęli. Wierny czytelnik „Pracy."

Franciszek Musielak.

* * *

Witten.

Szanowna Redakcyo!

Niedawno, jak poznałem pismo „Pracę" a już przywiązałem się do niego całą duszą. Piszę tę parę słów, aby dać wyraz mojemu zadowoleniu. „Pracę" czyta chętnie każdy, a ja sam znam tutaj jeden dom polski, gdzie pani i służąca obie „Pracę" czytają. Takie pismo to dopiero prawdziwie spełnia zadanie społeczne i łączy wszystkie klasy. Niestety na obczyźnie marnuje się tu dużo takich, którzy nie dają się poznać, że są Polakami, a wskutek tego, do żadnego towarzystwa wciągnąć ich nie można. Gdyby to każdy Polak, co umie czytać wychodząc z kraju czytywał naszą kochaną „Pracę", nasz kraj najbogatszy byłby ze wszystkich, bo miałby dużo rozumnych i pracowitych obywateli, którzyby pojmowali zadanie Polaka na obczyźnie.

Jak mogę, zachęcam wszystkich do „Pracy" i na tej drodze wzywam wszystkich moich znajomych i przyjaciół, aby usilnie „Pracę" popierali.

Marcin Andrzejewski

* * *

Pittsburg P. A.

Szanowna Redakcyo!

Nie wszystkim wiadomo może, że tu w Pittsburgu jest polskie gniazdo Sokole. Składa się ono z samych młodych rzemieślników i robotników, którzy usilnie pracują nad podniesieniem towarzystwa i oto już sprawiliśmy sztandar własny narodowy za 200 dolarów i amerykański za 60 dolarów. Płacimy 8 dol. za pomieszkanie (miesięcznie). Brak nam jednak zaopatrzonej w pisma i książki polskie biblioteki, a nasze siły na sprawienie jej nie wystarczają. Jest to powód, dla którego piszę ten list. Niejeden rodak nasz w kraju ma książki niepotrzebne lub podwójne egzemplarze. Ten mógłby się dobrze przyczynić do utrwalenia egzystencyi naszego towarzystwa. Wreszcie zwracam się tu do gniazd Sokolich. Niejedno posiada zapewne bibliotekę, z której nam mogłoby użyczyć książek niepotrzebnych lub duplikatów. Podajcie nam bracia dłoń bratnią i o usiłowaniach naszych nie zapominajcie. Za każdą książkę serdecznie będziemy wdzięczni. Czołem druhowie!

Józef Porzych, naczelnik.

153. 19. S. S. Pittsburg P. A. *Nord America.*

(*Przyp. Red.*: Stosownie do życzenia, umieszczamy list powyższy, zaznaczając jednakowoż, że towarzystwo zamiast 260 dolarów wydawać na sztandary mogło przynajmniej połowę tej sumy poświęcić na książki. — Czytelników prosimy o poparcie prośby pana Porzycha.)

Złote listki.

Ja przez szczęście rozumiem to, co zbawiennym wpływem wznosi, kształci i uszlachetnia ducha naszego, a za nieszczęście mam to, co go poniża, nikczemni i gnębi. *N. Żmichowska.*



Bitwa pod Chocimem 1673 r.

Album „Pracy." Malował Walery Eljasz. Drukiem „Pracy"



U STOP CHRYSTUSA.
(E. de Bello.)

Alleluja!

Drży z radości gmach kościoła,
Na wieżycy dzwon się buja —
Z naw wybiega pieśń wesoła:
Alleluja, Alleluja!

Dwa dni w grobie Człowiek-Bóg
Leżał, jako rzekł do sług,
A na trzeci zaraz dzień
W blasku chwały powstał zeń.

Choć go strzegły ze stron obu
Rzymskie straże — oniemiały,
Gdy przyleciał anioł biały
I odwalił kamień grobu.

I siadł na nim i jaśniało
Nakształt słońca Jego lice,
A miał szatę jak śnieg białą,
A w wejrzeniu błyskawicę.

I upadły na twarz społem,
Gdy naokół ziemia cała
W Zmartwychwstania chwili drżała,
W trwodze wielkiej przed aniołem.

A gdy przyszła z niewiastami
Magdalena, aby Ciało
Pańskie natrzeć wonnościami,
Rzekł jej anioł: Tu leżało!

Oto miejsce grobu jego,
Tu złożony był w tej szacie,
Lecz go nie masz — przecz szukacie
Pośród zmarłych żyjącego? —

I znów dzisiaj zbożny lud
Zmartwychwstania święci cud,
Co odrodził cały świat,
Gdy zakwitnął wiary kwiat.

A wtóruje mu przyroda,
Tchnieniem wiosny ożywiona,
Z więzów zimy uwolniona,
Znowu piękna, znowu młoda.

Drży w posadach gmach kościoła,
Na wieżycy dzwon się buja —
Z naw wybiega pieśń wesoła:
Alleluja, Alleluja!

Alf.



Wielkanoc jest to uroczystość, podczas której Kościół Święty obchodzi pamiątkę Zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. Nazwa tej uroczystości wzięta jest od nocy, w której Chrystus zmartwychwstał, a która dla nas z tego względu jest nocą wielką i bardzo ważną. Żydzi przed przyjściem na świat Chrystusa obchodzili Wielkanoc na pamiątkę wybawienia ich podczas nocy z niewoli egipskiej, i pożywania baranka przy wyjściu z Egiptu tudzież na pamiątkę pozabijania wszystkich pierworodnych dzieci egipskich, a zachowania hebrajskich, co pismo św. Przejściem Pańskiem nazywa. Dlatego to święto nazwali Paschą, co z hebrajskiego przejście znaczy. Nasza uroczystość Zmartwychwstania Chrystusa nazywa się także Paschą, raz od Paschy hebrajskiej, która tej uroczystości była obrazem, a powtóre, że Zmartwychwstanie Chrystusa jest przejściem Jego od śmierci do życia, przez które z wiecznej śmierci nas oswobodził.

Ponieważ Zmartwychwstanie Chrystusa jest główną zasadą naszej wiary, stąd uroczystość Wielkanocna dla Chrześcijan jest najważniejszą i najmilszą. Dlatego też Kościół święty z większem ją, niżeli inne, weselem i radością zwykł obchodzić. Ta radość i wesele Kościoła wyraża się we wszystkich pieśniach, jakie podczas Wielkiejnocy bywają śpiewane.

Uroczystość Wielkiejnocy zaczyna się od wspaniałego nabożeństwa, które zo-

wie się Rezurekcyą. Ta Rezurekcya wyobraża samo Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa i bywa odprawianą w sobotę wieczorem, lub też w niedzielę rano, stosownie do miejscowego zwyczaju. Rezurekcya rozpoczyna się od Grobu Pańskiego, skąd po prześpiewaniu modlitw stosownych, wychodzi uroczysta procesya z Najświętszym Sakramentem, i trzy razy przy stosownych pieśniach wewnątrz, lub zewnątrz kościoła się obchodzi. Po procesyi i prześpiewaniu modlitw, odprawianą jest Jutrznia o Zmartwychwstaniu Pańskiem.

Procesya zwykle raz tylko obchodzi kościół; w tym zaś dniu trzy razy, na znak radosnego tryumfu Jezusa Chrystusa nad śmiercią i grzechem. Dlatego podczas tej procesyi niesie się krzyż, stułą czerwoną przepasany, paschał zapalony i figurę Chrystusa Zmartwychwstałego z chorągiewką w ręku. Są to oznaki zwycięztwa, jakie Chrystus odniósł nad śmiercią. Jest to zarazem oznaka naszego Zmartwychwstania i wiecznej radości w niebie, jaką nam Chrystus przygotował.

W dawnych czasach, gdy kapłan po procesyi śpiewał: „Wstał Pan Chrystus zmartwych ninie“, wierni, będący w kościele, tej radosnej nowiny sobie winszowali, a dając wzajemne pocałowanie na znak miłości i radości wspólnej, powtarzali słowa przez kapłana śpiewane. Z czasem, gdy składanie tych powinszowań w kościele ze zwyczaju wyszło, miejsce ich zajęły powinszowania, jakie w ten dzień pod nazwaniem „Alleluja“, lub Zmartwychwstania Chrystusa, składamy sobie po domach.

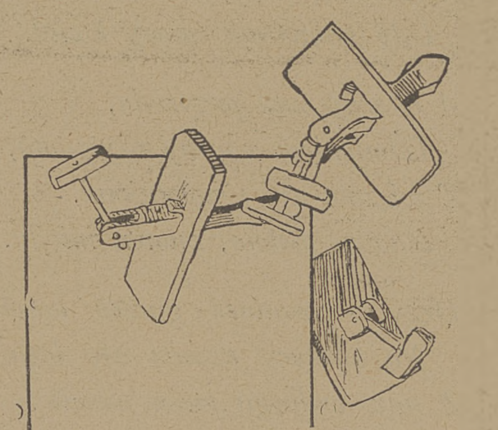
Przy obchodzie tej radosnej pamiątki, po odbytem nabożeństwie, chrześcijanie zapraszają siebie wzajemnie na ucztę, z różnych pokarmów złożoną, która jest równie jak wilia na Boże Narodzenie, zabytkiem uczt dawnych. Między temi pokarmami pierwsze zajmuje miejsce baranek na znak, że Jezus Chrystus jest Barankiem Bożym, który gładzi grzechy nasze. Przytem przypomina tryumf Niebieskiego Baranka nad śmiercią i dlatego pospolicie przy poświęcanym baranku chorągiewka się zawiesza.

Gospodarz z domownikami i gośćmi zwykle rozpoczyna pożywanie wielkanocnej uczty od jaja, czyli święconego. Jest to dawny zwyczaj przejęty od Rzymian, którzy od jaj ucztę rozpoczynali.

Z jaj dawniej robiono, w dzień Wielkanocny podarunki osobliwie dla dzieci, co i teraz w wielu miejscach się zachowuje. Stąd powstał zwyczaj farbowania jaj i wyrabiania na nich różnych wizerunków, a najczęściej takich, które się do uroczystości wielkanocnej stosują. Stąd wreszcie samo jajko niejako oznaką wielkanocnej uroczystości się stało.

W dawnych wiekach uroczystość Wielkiejnocy obchodzono przez całą oktawę, czyli ośm dni. Chociaż teraz Wielkanoc uroczyście tylko przez dwa dni się obchodzi, jednak w kościelnem nabożeństwie do następnej niedzieli się rozciąga. Ta niedziela zowie się Przewodnią. Tego dnia pierwsi chrześcianie nowo ochrzceni składali w kościele suknie białe. W dawnych bowiem czasach ochrzceni w Wielką Sobotę przez cały tydzień nosili białe suknie na znak odebranej na chrzcie świętym niewinności, codzień przyjmowali oni Najświętszy Sakrament i słuchali Mszy św., która za nich szczególniej ofiarowaną była. Nie znajdowali się oni na żadnych widowiskach, zabawach i biesiadach, słuchali nauki wiary św. o ile im te przed chrztem wykładane nie były. Nakoniec w oktawę Zmartwychwstania Chrystusa, czyli niedzielę pierwszą po Wielkiejnocy, składali oni suknie białe i do liczby wiernych zaliczano ich. Dlatego też niedziela ta nazwana została Niedzielą w Bieli, albo Przewodnią. To wszystko pokazuje się z dawnych modłów kościelnych, które podczas dni wielkanocnych i świątecznych do dnia dzisiejszego się używają.

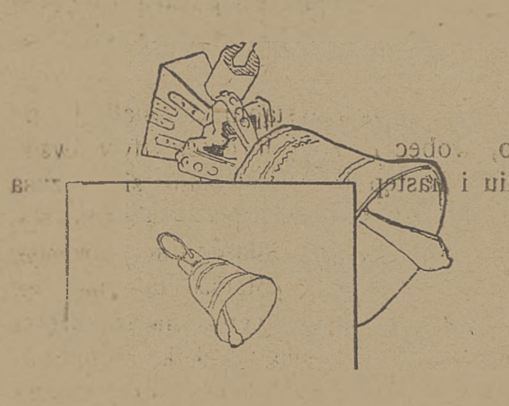
Czas Wielkanocny trwa przez ośm tygodni, aż do uroczystości Trójcy Przenajświętszej. Wszystkie modły i śpiewy kościelne w tym czasie są nacechowane najwyższą radością, wdzięcznością i uwielbieniem Jezusa Chrystusa za dokonane dzieło odkupienia. *Ks. Z.*



W Wielką Noc.

. . . .
Szedł księżyc blady,
Szedł uśmiechnięty wśród fal
Tajemnych dróg...
I ziemia drżała, i gwiazd miryady,
I zda się czarna mówiła gleba:
Zmartwychwstał Bóg!
Ziemia i niebo i świat Ereba,
Kwiaty i drzewa, trawki i zioła
I istność cała,
Morza i lądy, człowiek i skała,
Wszystko nad nami i dookoła,
Mądrość, prostota, nędza i eden,
Dusza prawego i serce zbója
Grzmiało chorałem, jakby mąż jeden:
O! Alleluja!...
. . . .
. . . . Zalśniło słońce
I oblewało złotem niebiosa —
I spłonął świt...
I z wiosny kwilić zaczęły gońce,
I z drzew płynęła, jakby łzy, rosa —
I z skalnych płyt
Kropelki szronu, jak ziarnka prosa,
Biegły na mchami usłaną ziemię,
I wszechświat cały,
Turnie, parowy, ruczaje, skały,
I bór staruszek, co mrucząc drzemie,
Chaty wieśniacze, płaczące drzewa,
Wydmy piasczyste i żyzne łany,
Wszystko „Hosanna!“ chorałem śpiewa
Panu nad Pany!...
. . . .
. . . . . . Zabrzmiały dzwony
I echa głos ich poniosły chyże
Na świata kres —
Nie żałobnemi jednakoż tony,
Nie smętnym jękiem dźwięczały spiże,
Bez skarg i łez;
Lecz na eolskiej grały tak lirze,
Że pierś wzbierała radości falą,
Że się słuchało,
Jak sercem całem i duszą całą,
Jak się weselą, jak się nie żalą,
Jak dźwięk ich błogi płynie pod chmury,
Jak głos ich jednym wyrazem buja
I na świat spływa z mgławicznej góry:
O! Alleluja!
. . . .
. . . . Ukrzyżowany!
Jezu i Chryste Odkupicielu,
Przez swoją krew,
Ty, coś przez ciężkie męczeństwa rany,
Z ideą Wiary, dążył do celu
Śród krwawych stref,
Wielki, Potężny i Niezbadany
Chryste elejson!... Wiara Twa jaśnie
Lśnić będzie wieki,
I wyschną morza, i wyschną rzeki,
A gwiazda Prawdy Twojej nie zgaśnie
I po wsze czasy zawsze i wszędzie
Z echem co płynie, z wiatrem co buja,
Głos wszechistnienia wołać ci będzie,
O! Alleluja!...

Paweł Kośmiński.



O cud Zmartwychwstania.

Numer niniejszy „Pracy“ otrzymają czytelnicy w chwili, gdy cały świat chrześciański obchodzi najuroczystsze i najradośniejsze święto: Zmartwychwstania Zbawiciela.

Godzi się przeto i należy to święto uczcić odpowiednio, co też czynimy, zamieszczając streszczenie obrony — autentyczności cudu Zmartwychwstania. Dla nas, wierzących szczerze we wszystko, co Kościół do wierzenia podał, obrona aż nadto wystarcza; ale historyk uprzedzony, rządzący się teoryami z góry powziętemi, oczywiście, że się na nie obużzy, bo jego filozofia każe mu widzieć rzeczy tak a nie inaczej. Jego filozofia nie zna cudów — on zatem świadectwo najautentyczniejsze w świecie śmiało nazywa fałszem, szalbierstwem, lub chcąc się okazać mniej brutalnym — nada mu miano wytworu głów słabych, halucynacyi czy łatwowierności.

Chrystus — utrzymują zaprzeczający rzeczom nadprzyrodzonym — umarł, jak każdy śmiertelnik i zmartwychwstać nie mógł. Uczniowie ciało Jego ukryli i uciekli o autentyczność cudu Zmartwychwstania szyderstwem i najzuchwalszem urąganiem, nikogo nie przekonał ani pociągnął, bo w opinii publicznej obudziło się uczucie sprawiedliwości i skłoniło ją do zaprotestowania przeciwko zamachom bezbożników. Racyonalizm wieku XIX spróbował innej broni — systemu halucynacyi; za pomocą tego chorobliwego objawu starał się wytłomaczyć wszystkie nadprzyrodzone zjawiska i widzenia. Że wypadki halucynacyi się zdarzają — tego faktu patologicznego nikt nie zaprzecza; ale objaśniać za pomocą niego Ewangelię — to rzecz niegodna i bez sensu. Bo



BOŻE GROBY.

(Piotr Stachiewicz.)

ta, będąca dziełem znakomitego kaznodzieji i autora dzieł religijnych, O. Didon'a, jest umocnieniem w zasadach wiary; dla wszelkiego zaś rodzaju niedowiarków staje się maczugą, druzgocącą na proch ich bezbożne, zuchwałe i śmieszne zakusy.

Z zarzutami wystąpili racyonaliści. Oni to, wobec niezbitych o Zmartwychwstaniu i następnie o zjawianiu się Jezusa świadectw, wytoczyli, jak im się zdawało, zabójcze dla kościoła działo: kwestyę cudu. Istotnie — niema cudu nad ten większego, ale też niema nadeń więcej pewnie stwierdzonego. Setki osób mówią o nim, jako o fakcie, który oczyma własnemi i wiele razy oglądali. Takie świadectwo dla historyka bezstronnego się do oszukaństwa, rozgłaszając o Jego Zmartwychwstaniu. Ale na czem się opiera to niegodne oświetlenie faktu? Czy na dokumentach? Nie. Wszak żydzi pierwsi umyślnie rozgłosili to przypuszczenie, lecz bynajmniej go nie dowiedli. Rozgłosili je przez nienawiść, za pomocą przekupienia kilku żołnierzy, katów Ukrzyżowanego. Każde przypuszczenie samowolne samo siebie zabija, a jeśli się posługuje oszczerstwem i brutalnością, staje się wtedy poprostu — niegodziwością. Wobec świadectw historycznych, które nam przedstawiają uczniów Chrystusa jako dusze nieskazitelne, niepokalane — czy godzi się obrzucać ich niegodziwem mianem oszustów i szalbierzy?

Wiek XVIII, choć szafował w walce przecież halucynat jest obłąkanym, któremu zdaje się, że widzi na zewnątrz to, co się znajduje w nim; inaczej mówiąc: zamienia subjektywne przywidzenia na objektywną rzeczywistość. Halucynat to biedny chory, w którego organizmie dostrzedz można wyraźnie zboczenie: newrozę, brak ładu w pojęciach, myślach i t. p. Zatem pragnąc wytłomaczyć fakt Zmartwychwstania za pomocą takiego obłędu — czy to nie nowa obelga? czy nie nowy absurd? Uczniowie Chrystusa w świadectwach historycznych, nie ulegających żadnej wątpliwości, są przedstawieni jako ludzie zdrowi na ciele i umyśle; bez zdolności nadzwyczajnych, ale też bez żadnych zboczeń.

Zauważmy jeszcze, że halucynat zawsze

widzi to, czego pragnie, albo to, czego się obawia. — Tymczasem apostołowie o Zmartwychwstaniu nic nie wiedzą; nie rozumiejąc co to właściwie — nie mogą ani go pragnąć, ani się go obawiać. Oni przecież w Zmartwychwstanie uwierzyć nie chcą z początku. Widzimy zatem, że pomiędzy nimi a halucynatami zachodzi wręcz przeciwieństwo. Jeżeli kto, mimo to, koniecznie będzie utrzymywał, że mogli uledz halucynacyi, z powodu gorącej miłości dla Mistrza, pod wpływem mirażów wschodnich, uroków wiosny w Galilei i olśniewającego nieba tego kraju — ten wywoła uśmiech politowania na usta każdego, znającego Wschód. Żyd ani arab nie marzą. Piękność przyrody odczuwają w bardzo małym stopniu, więc też w bardzo małym są zdolni poddawać się zachwytom tej egzaltacyi wytwórczej, jakiej tylko spółczesny człowiek cywilizowany ulegać może.

A trzeba pamiętać, że uczniowie Chrystusa cały świat pozyskali dla jego nauki — nie było zaś nigdy przykładu, żeby halucynaci, ludzie obłąkani dokonali coś podobnego, stąd wniosek: że kto zaprzecza cudu zmartwychwstania, ten tworzy inny cud — wytworzenie wiary chrześciańskiej przez obłąkanych, co jest trudniejsze do zrozumienia. Kto nie uznaje praw innych, jeno prawa natury fizycznej i umysłowej, dobrze iżby chciał prócz tego pamiętać, że istnieją prawa powszechne natury moralnej i ludzkiej, rozumnej i Bozkiej. Śmierć to nieubłagane następstwo grzechu. Jeżeli tedy znajdzie się istota żadnym niepokalana grzechem — to wszak, ze względów czystej sprawiedliwości, powinna być ona wolną od śmierci. Taką istotą był Chrystus Pan. Zmartwychwstanie więc Jego to wielki akt sprawiedliwości Bożej nad jedyną, jaką znała na ziemi, istotą, z natury swojej niewinną.

Obronę cudu Zmartwychwstania, jak widzimy, cechuje nietylko głęboka wiedza, ale spokój, powaga i szlachetność, które zawsze z prawdą chodzą w parze. Przeciwnik uciec się może do wykrętów, jak się ucieka szalbierz do wagi lub miary fałszywej — lecz argumentów przeciwko niej nie znajdzie. W dniu radosnego święta uważaliśmy za właściwe pokrzepić Czytelnika tem zdrowem ziarnem, które usuwa podszepty sceptycyzmu.

„Praca“



Zmartwychpowstał!

Ponad Golgotą wieczór być ponury,
Po nad Golgotą wiatr wył śmierci hasła,
Ponad Golgotą falowały chmury,
Ponad Golgotą cała jasność zgasła...
Zgasła, jak-życie Tego, co rozpięty
Skonał na krzyżu bez jęku, bez skargi,
Gdy Mu spieczone upragnieniem wargi
Żółcią zwilżały siepaczów odmęty...
Ponad Kalwaryą prąd przepływał zimny,
I obszar przestwórz drgał febrycznie cały,
I żałobnicze echo grało hymny,
Zwiastuńcze śmierci posępne hejnały!...
Głów trupich góra ludzką krwią zbryzgana
I wydeptane murawy przez tłumy,
Tak wyglądała, jakby wielka rana,
Lecz bohaterska; rana pełna dumy...
Bo na niej skonał Wielki Prawd Wskrzesiciel,
Największy Tytan pomiędzy Tytany,
Bo na niej skonał świata Odkupiciel —
Ukrzyżowany!...

. . . .

. . . .

I po złożeniu w grobie dnia trzeciego
Zorze poranne zalśniły wyniośle,
Złocąc te palmy, co grobowca strzegą,
Drzewa oliwne, winne latorośle...
Pieśń jakaś cudna rozbrzmiewała z echem
I po przestworza snuła się lazurze,
A smętne lilie i półsenne róże
Powiewny zefir budził swym oddechem...
Zaczarowanej jakieś fletni tony
Płynęły falą przez sąsiednie niwy,
Chorał zwycięstwa gromki, rozogniony,
Jak radość czuły i jak miłość tkliwy!
I podczas tego stał się cud nad cudy:
Zadrgały głazy, pękły w skrzydlach obu
I Ten, co Miłość krzewił między ludy,
Zbudził się ze snu i zmartwychwstał
z grobu!
I rozproszyły się naokół cienie,
I hymn jak fala płynął nieustanna,
Śpiewało całe świata Wszechistnienie
Bogu — Hosanna!...

. . . .

. . . .

I Zmartwychpowstał!.. Piłatowe straże
Pierzchły od grobu przez zielone łany,
Niosąc wieść w całym ziemicy obszarze,
Że zmartwychpowstał On — Ukrzyżowany!.
Powstał cierpienia Ten Męczennik mężny,
Ten, co tajników rozwiązał zawiłość
I wskazał jaką być powinna Miłość,
Powstał Syn Boży, wielki, przepotężny!...
Powstał, by drogi nawpół ciemne, szare,
Promiennem światłem ozłocić na ziemi,
By na tej glebie siać swą Świętą Wiarę,
Którą okupił ranami krwawemi!...
I zajaśniało nad wszechświatem słońce,
Tuląc w uścisku przebudzoną wiosnę,
Podniebne echa, jak skrzydlate gońce,
Śpiewały chórem wieści te radosne.
I ponad lądy i spienione morza,
Z wiatrem, co wiecznie w podobłoczu buja,
Hymn wielki płynął nad światów przestworza:
O, Alleluja!...

. . . .

Paweł Kośmiński.

15. 4. 1900.

Poganin zmartwychwstał.

Z notatek na marginesie modlitewnika.

Działo się to w Betleem.

Pasterze byli odeszli, złożywszy hołd Nowonarodzonemu, a Magowie jeszcze nie przybyli. Marya spała, tuląc do Siebie Dzieciątko; sędziwy Józef czuwał, siedząc na progu.

Świtało. Przez szpary drzwi wdzierały się różowe smugi świetlne, gdy wszedł nieznajomy i do Józefa się zwrócił:

— Kto jesteście i co tutaj robicie?

Zmieszał się Józef, nieznajomy zaś znów przemówił:

— Mucyusz Nasica jestem, obywatel rzymski i właściciel tej stajni.

— A! panie mój — rzekł Józef schylając przed nim czoło — oto małżonka moja i Dzieciątko. Noc nas zaskoczyła bez przytułku i mniemaliśmy, że nic zdrożnego nie uczynimy, chroniąc się do tej otworem stojącej stajenki...

— Zaiste, zbrodnią to nie jest — odparł Mucyusz — lecz należało do mnie się zwrócić o pozwolenie. Kiedy już jednak tu jesteście, pozostańcie.

— Nie pożałujesz, panie, miłosierdzia, rzekł Józef z wdzięcznością — dowiedz się, że Dzieciątko jest Mesyaszem.

— Wszystko jedno, starcze: Rzymianina Mesyasz nie obchodzi.

Mucyusz był synem setnika, który przybył do Palestyny z prokuratorem, a wysłużywszy w szeregach lata przepisane, kupił wioskę przy drodze do Betleem; on sam, pracowity i zabiegliwy, nabył jeszcze gospodę dla przejezdnych i utrzymywał skład z korzeniami, tkaninami i innym towarem. Jako kupiec, musiał częste odbywać podróże, sprzedając towary, lub nabywając nowe. Słynął, jako człowiek uczciwy, szanujący prawa swego kraju.

W kilkanaście lat, po opisanem spotkaniu, Mucyusz znajdował się w Jerozolimie, podczas świąt Paschy i zdarzyło się, że spotkał Maryę z Józefem, których poznał od razu. Byli zaniepokojeni, więc o powód zapytał.

— Panie — odparł sędziwy cieśla — straciliśmy Syna! Napróżno szukaliśmy go pomiędzy znajomymi i krewnymi.

— Snać roztrzepane chłopię — rzekł Mucyusz i udał się wraz z strapionymi rodzicami szukać zaginionego. Wreszcie znaleźli Dziecię: siedziało w świątyni, pomiędzy uczonymi, których wprowadzało w podziw mądrem tłumaczeniem Pisma.

— Zarozumiały malec! — mruknął Mucyusz, ale Marya nie zważała na tę uwagę i zapominając o wszystkich udręczeniach, przemówiła słodko do Syna:



U GROBU CHRYSTUSA.

— Synu, cóżeś nam to uczynił? Oto ojciec twój i ja żałośni, szukaliśmy Cię.

Na to odrzekł Jezus ze spokojem:

— Cóż jest, żeście mnie szukali? Nie wiedzieliście, iż w tych rzeczach, które są Ojca mego, potrzeba żebym był?

Marya odwróciła głowę, aby ukryć łzy, które do Jej oczu się cisnęły.

W ośmnaście lat potem, Mucyusz, wylądowawszy w jednej z przystani morza Galilejskiego, spostrzegł na brzegu Młodzieńca, w białej sukni z prostej wełny, dokoła niego ludzi ubogo ubranych.

— Znajomą mi ta twarz... — myślał Rzymianin, i zapytawszy dowiedział się, że to Syn Maryi i Józefa.

— Cały kraj o nim mówi, bo głosi nową religię i zapowiada przyjście Królestwa Bożego.

Królestwo Boże? — powtórzył Muncyusz — co to za wymysł?

W tej chwili oznajmiono Młodzieńcowi, że bracia czekają na Niego.

— Któż są bracia moi? — zapytał, a wskazując na owych ludzi ubogich, którzy Go otaczali, dodał: — Oto bracia moi. Albowiem ktobykolwiek uczynił wolę Ojca mego, który jest w Niebiesiech, ten bratem moim i siostrą i matką jest.

Wtedy Mucyusz poznał w Młodzieńcu owego chłopca, z świątyni w Jeruzalem.

Jezus tymczasem zbliżył się do łodzi, w której siedział starzec i dwaj synowie jego; wszyscy naprawiali sieci.

— Jakóbie i Janie, synowie Zabedeusza — odezwał się do młodych — pójdźcie za mną, uczynię was rybakami ludzi.

Wezwani natychmiast porzucili sieci swe i ojca, co oburzyło Mucyusza.

— Biedny starzec! — myślał — snać ubogim jest, a do zapracowania na chleb sił już nie ma. Co pocznie bez synów?

Nieco później, Mucyusz został zaproszony na ucztę weselną, przez jednego ze swoich klientów, w Kanie galilejskiej. Znajdował się tam Jezus z Maryą. Biesiadnikom zabrakło wina; spostrzegłszy to, Marya zwróciła się do Syna ze słowami:

— Wina nie mają.

— Jeszcze nie przyszła godzina moja — brzmiała odpowiedź.

Po chwili, rozkazał służącym napełnić wodą sześć wielkich stągwi, a kiedy czerpać z nich zaczęto, okazało się, że zawierają doskonałe wino.

— To mi sztuka! — roześmiał się zabawiony Mucyusz.

Innym razem Rzymianin ten, jadąc do Jerozolimy z zapasem gołębi, przeznaczonym dla prowadzących handel w świątyni, spotkał po drodze Jezusa z uczniami. Idąc tuż obok łanów zbożowych, zrywali kłosy pszeniczne, tarli je w ręku, a ziarna spożywali.

— Zanadto sobie pozwalają! — odezwał się Mucyusz do przechodzącego Izraelity.

— To prawda! — potaknął zaczepiony. — Taka bezbożność w dzień sabatu powinna być skarconą.

— Mniejsza o bezbożność — mówił dalej Mucyusz — przekroczenie, czy w dzień święta, czy w powszedni, zawsze pozostanie przekroczeniem.

— Widocznie jesteś cudzoziemcem — zaprzeczył żyd — zarzucam im tylko, że postu nie dochowują, nie zaś to, że zerwali kilka kłosów. W zakonie Mojżesza powiedziano: „wszedłszy w cudze zboże, możesz ręką zrywać kłosy.“

— No, to wasz Mojżesz z pewnością nie był posiadaczem ziemskim — zadecydował urażony Rzymianin.

Nazajutrz podążył Mucyusz do świątyni, aby tam sprzedać gołębie, ale wszedłszy do przysionka, cofnął się zdumiony: na środku świątyni zobaczył Jezusa, a dokoła powywracane kramy i przestraszonych kupców.

— Dom mój jest domem modlitwy! gromił syn Maryi handlarzy, ci zaś nie śmieli mu się sprzeciwiać.

— Widzę, że nic tu już nie sprzedam — mruknął handlarz gołębi — w każdym razie ten prorok nie szanuje cudzej własności.

W kilka godzin potem, na jednym z placów miasta, spostrzegł Jezusa, rozmawiającego z faryzeuszami, którzy usiłowali Go w kłopot wprowadzić:

— Nauczycielu — zapytywali Jezusa faryzeusze, wskazując mu kobietę, która klęcząc, płakała rzewnie — to grzesznica, a takie rozkazał Mojżesz kamienować. Ty co o tem mówisz?

— Kto z was bez grzechu jest, niech w nią rzuci kamieniem.

— Odpowiedź taka niczego nie dowodzi — rzekł z przekąsem Mucyusz. — Gdyby wykonawca prawa musiał być bez grzechu, trzeba byłoby skasować sądownictwo,

Także z ironią patrzał się Mucyusz na czyn Maryi z Magdali, która w Betanii, w domu Szymona zwanego trędowatym, stopy Jezusa wonnościami namaściła i włosami swemi je otarła.

Jezus rzekł do niego:

— Mucyuszu, dla czego zła myśl powstała w sercu twojem? — a gdy Rzymianin milczał, dziwiąc się w duchu swej nieśmiałości, dodał: — Dzień twój nie nadszedł jeszcze.

Wiele innych zdarzeń ostatecznie przekonało Mucyusza, że Jezus zgorszenie sieje; oburzał się, słysząc, jak przepowiadał upadek Jerozolimy i inne klęski; utrzymywał, że nauka Jezusa tchnie wzgardą i nienawiścią dla bogatych i dla kapłanów.

— Ludzkość nie jest doskonałą — mówił — ale któż z ludzi rozsądnych, posiadających rodzinę i majątek, nie obawia się zburzenia tego porządku rzeczy, który jest w przewidywaniu, że może być gorszym ten, który nastanie.

. . . .

Sześćdziesiąt lat liczył Mucyusz. We wszystkiem powodziło mu się doskonale, a za to sobie samemu wdzięczność przyznawał; miał się przytem za wzorowo uczciwego i zawsze bronił stanu rzeczy, tego ich porządku, wśród którego dorobił się bogactwa i znaczenie posiadł u ludu.

Naraz wszystko się zmieniło. Żona mu umarła, pozostawiając dorastającą córkę, Neerę, którą kochał pewien biedny młodzieniec i którego dziewczę pokochało. Dumny bogacz odrzucił młodzieńca, a ten utopił się z rozpaczy w jeziorze Tyberyackiem. Wkrótce potem Neerę wykradł rycerz rzymski, po to, by ją nikczemnie porzucić. Nie śmiała wrócić do ojca i tułała się po mieście w nędzy. Wiedział o tem Mucyusz, jednak nie wyciągnął do niej dłoni z przebaczeniem; pragnąc pociechy w swem osamotnieniu, pojął za żonę Syryjkę, kobietę płochą. Przekonawszy się o tem, w pierwszem uniesieniu chciał ją zabić, lecz ochłonąwszy, przebaczył jej, bo szczerze żałowała, a on ją kochał.

Nieszczęście nie przychodzi pojedyńczo; Mucyusza spotykał cios za ciosem: pożar zniszczył jego mienie, składy i trzody, zdradliwy przyjaciel ograbił z pieniędzy, a lata nieurodzajne przyprawiły go o ruinę ostateczną. Był już starym, pracować nie mógł; żona, chociaż istotnie była teraz dlań jak najlepszą, nie zarabiała tyle, aby go wyżywić; żebrakiem został, a nędza sprowadziła go na złą drogę, aż do drobnych kradzieży. Uczuł nienawiść do wszystkich ludzi, wyrzekał na sobkostwo bogaczów, wszystkim urządzeniom społecznym zarzucał grunt fałszywy, nazywał je niesprawiedliwemi. Wtedy w pamięci jego ozwały się echem słowa Jezusa i przyszedł do wniosku, że obecnie on był jednym z tych, nad którymi Ukrzyżowany tak serdecznie się litował. Pewnegu razu, gdy mu żona przyniosła jałmużnę, otrzymaną od Jana Apostoła, tknięty jakiemś przeczuciem, udał się na zebranie chrześcijan.

Zdziwił się poznawszy w Apostole jednego z dwóch rybaków, których Jezus wezwał słowy:

— Synowie Zabedeusza, pójdźcie za mną!

Zdziwił się bardziej jeszcze, znalazłszy pomiędzy chrześcijanami Neerę, cór-



Rysowal T. Jaroszyński.

kę swoją, nawróconą. Tak to na niego podziałało, że uwierzył w Jezusa.

— Czy to was nie zdumiewa — mówił do Apostoła — że wierzę teraz w Tego, którego potępiałem?

Apostoł odparł:

— Stało się to, boś zaznał biedy i cierpień. Posłuchaj i rozważ. Mówiłeś, że Jezus nie szanował rodziny, a my Jego uczniowie, wyratowaliśmy cię od nędzy, od śmierci głodowej. Człowiek ma obowiązki dla najbliższych, zanim poweźmie obowiązki względem ludzkości, lecz więcej winien jest ludzkości niż rodzinie. Dwie te prawdy zdają się być w sprzeczności z sobą, lecz są pewnikami. Bogacz nie powinien być chciwym i nieużytym, a takich jest wielu! przekonałeś się, kiedy byłeś zmuszony żywić się kłosami, zerwanemi z cudzego pola i owocami z drzew cudzych. Zaiste, lepiej gdybyś był tę prawdę zrozumiał wtedy, kiedy jeszcze posiadałeś pola i ogrody.

Gorszyłeś się, że Mistrz pobłażliwym był dla grzeszników, a przecież sam przebaczyłeś żonie, i to jest jeden z najlepszych czynów życia twego. Słowo Syna Bożego uczyniło żonę twoją dobrą małżonką, a córkę twoją, Neerę, ocaliło od zguby.

Czuł Mucyusz, że Apostoł w sercu jego posiew święty krzewi; w miarę jak słuchał, oczy mu się otwierały i prawda stawała przed nim jasna, promienna.

— Pozostań z nami, bracie — mówił Jan, a mowa jego brzmiała coraz tkliwiej, coraz milej — wierzaj, że jesteśmy szczęśliwi. Oto mieszkamy razem, w tej dzielnicy, w kilku domach sąsiednich, każdy z nas pracuje według możności. Żyjemy sami i jeszcze pozostaje nam dla biednych i nieszczęśliwych. Jezus nauczał, że wszelkie trudności życia najłatwiej dają się usuwać za pomocą miłości: my teraz jesteśmy rodziną powiększoną, ale przyjdzie czas, że staniemy się całą ludzkością, zbrataną w Bogu. Pozostań z nami. Jeśli w życiu Jezusa widzisz rzeczy niezrozumiałe, staną się one dla ciebie coraz jaśniejszemi, w miarę jak ty sam stawać się będziesz coraz lepszym, szlachetniejszym, a wola twoja silniejszą. Jeśli wszystkiego nie będziesz mógł objąć rozumem, przypomnij sobie, że Jezus jest Synem Bożym, a wtedy ukorzysz się przed Tajemnicą Przedwiecznego.

Mucyusz uczuł, że serce jego zmartwychwstało, odrodziło się w miłości prawdziwego Boga. Wzniósł oczy ku niebu i zdało mu się, że widzi Jezusa, unoszącego się w majestacie wielkim, wśród chóru Aniołów i Archaniołów, którzy radośnie światu głoszą:

Alleluja! J. L.

„Dzień dziś nastał wesoły."

Na niedzielę palmową
Pękły wierzby nad rzeką,
I legł błękit nad głową
Modrą falą — daleko.
Roześmiała się rola,
Po śnie twardym — i dysze
A wiatr idzie przez pola
I ruń pierwszą kołysze.
Już sasanka gdzieś w boru
Zbudziła się i buja —
A bór staje do wtoru
I grzmi: Hej! Alleluja!

Jeszcze w cichej świątnicy
Grób światłami się jarzy,
Dwóch żołdaków w zbroicy
Z włócznią stoi na straży.
A od grobu na człeka
Patrzy Bozka twarz blada,
Krew kroplami ocieka
I w tę ziemię precz spada;
Bo za nasze to grzechy
Chrystusowa ta męka;
Więc lud idzie z pod strzechy
I tu kornie przyklęka,
I uderza w pierś drżącą,
I łzy leje rzęsiste,
A przez ciszę mdlejącą
Biegnie łkanie: O, Chryste!..

Lecz już Anioł skrzydlaty
Kamień grobu odwala,
Bije wielka po światy,
Jak od słońca, skroś fala,
Chrystus dłonią w błękicie
Spędza śmierci precz cienie:
„A przeze mnie jest — życie,
A przez światło — Zbawienie!.."

Biją dzwony, hej dzwony!
Grają huczne organy,
W Rezurekcyę zbudzony
Kościół światłem zalany,
Ksiądz procesyę już wiedzie
Dymy w smugach w ślad wioną,
A sam Chrystus na przedzie,
Z chorągiewką czerwoną.
Jak w anielskim orszaku,
Płynie w dymach i buja,
Błogosławiąc wzdłuż szlaku,
A śpiew grzmi: „Alleluja!"

* * *

Od kościołka tuż blisko,
Świecą ściany bielone,
Popod strzechą, pod nizką
Leżą chleby święcone.
Leży suto mięsiwa,
Ser i masło, pisanki,
Wszystko zdobne bukszpanem,
Obok misy i dzbanki.
A wśród stołu w rzeżusze
Z wełną pięknie skręconą
Leży biały baranek
Z chorągiewką czerwoną.
„Dzień dziś nastał wesoły:"
Kto we wrota kołata,
Znajdzie misy i stoły —
Czeka chata na brata!

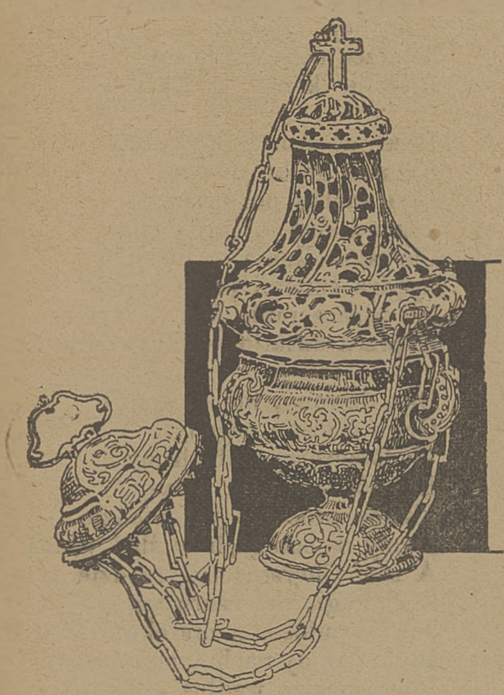
* * *

A no, idzie brat Mazur,
I tak wita — od progu:
„Pochwalony: Bywajcie!
Alleluja! — Po Bogu.
Bom-ci Mazur rodzony
Na tej ziemi i roli,

Znam, co serce raduje,
Co je trapi i boli.
Więc przychodzę w to święto,
Za mną idzie wesele;
Jużci z bratem — święconem
Jajkiem dziś się podzielę.
A tak życzę ci, bracie:
— Gdzie te łany poliste,
I tym ludziom, i chacie,
Pobłogosław, o Chryste!
Wznieś swą Boską prawicę
I przeżegnaj dokoła
Precz tę całą ziemicę
I te miasta i sioła!
Niech się serca otworzą,
Jako pąki z tą wiosną,
Pod słonecznych łun zorzą
Niech z nich kłosy wyrosną!
I niech będzie tu chleba,
I niech będzie światłości!
I niech będzie tu nieba!
I zgody — i miłości!...“

Tedym skończył — po Bogu,
Skoroć dzwon się precz buja,
Idę dalej — a z progu
Raz jeszcze: „Alleluja!“

Bożydar-Mazur.



ŚMIGUS.

(Z pamiętników młodej wdowy.)

Ach! ten nieszczęsny, obrzydliwy, niemądry zwyczaj!

Tak się cieszyłam, iż drugie święto Wielkiejnocy od śmierci mego ukochanego Ludwika jako tako bez zgryzot i zmartwień przepędzę, gdy wtem wmięszał się do mojej ciszy i spokoju ów śmigus, a zatruwszy mi dzień cały, jeszcze teraz napawa mię niepokojem.

Byle tylko moja ukochana, moja jedyna Mania nie straciła oka.

Drżę na myśl, gdyby dziecko miało zostać kaleką na całe życie, twarzyczka jej zaś zeszpetnieć bez ratunku.

Przyznam się otwarcie, że Żardecki, sprawca cierpień Mani i mojego nieszczęścia, smutku, oraz łez, jak na doktora, okazał się niesłychanie niezręcznym.

Wprawdzie starał się potem swoją winę naprawić, ale cóż przyjdzie z tego i mnie i Mani, która okropnie musi cierpieć.

Zwyczajem oddawna przyjętym w naszej rodzinie, drugi dzień Wielkiejnocy miałam przepędzić u siostry mojej starszej, Andzi.

Wybrałam się z Manią, którą, jak na ośmioletnie dziecko, ubrałam może nieco za strojnie, ale tak mi to kochane dziecko przypomina Ludwika, że nic smarkatej nie mogę odmówić. Sama ubrałam się ciemno, ale wszyscy mi u Andzi mówili, że wyglądam doskonale i nie na matkę, jeno na starszą Mani siostrę. Może z powodu toalety spóźniłam się nieco i zastałam już kilkanaście osób.

Przedstawiono mi paru panów nieznajomych: żaden z nich atoli nie zwrócił na siebie mojej uwagi.

Panien było także kilka; śmiech więc i chichotanie rozbrzmiewały może aż zanadto często i głośno.

Drażniło to moje nerwy, od śmierci męża bowiem świat dla mnie wraz z wszystkiemi swemi próżnostkami i uciechami przestał istnieć; zostało mi tylko wspomnienie o nim, oraz troska o wychowanie Mani, tudzież o zapewnienie jej szczęścia.

Kochane dziecko tak się cieszyło, i ja z nią, że wesoło się zabawi z dziećmi Andzi, a tymczasem leży teraz z okiem spuchniętem, przepasanem, głową rozpaloną i ciałkiem rozgorączkowanem, tu w łóżeczku, niedaleko biurka, na którem spisuję słowa niniejsze.

Ale wracam do dalszego wątku.

Wyszłam tedy z pokoju, podczas gdy Mania bawiąc się z dziećmi, została.

Nie upłynęło jeszcze dwadzieścia, pięć minut od chwili, gdy usiadłam w buduarze Andzi, by pogawędzić nieco z p. Stefanem, dawnym jeszcze wielbicielem moim z lat panieńskich, starym, jak twierdzi, kawalerem, ale zawzięcie od niejakiego czasu flirtującym, choć ja się trzymam odpornie, kiedy nagle w jadalni rozległ się krzyk straszny.

Natychmiast poznałam głos Mani.

Zrywam się w mgnieniu oka, wyrywam Stefanowi rękę i pędzę na wpół omdlała ze strachu do jadalnego pokoju.

Tam scena straszna.

Mania leży na sofie, przyciska obu piąsteczkami lewe oko i krzyczy w niebogłosy. Naokoło niej Andzia, jej mąż, następnie Żardecki z miną zmięszaną i goście...

Pytam, co się stało.

Andzia bierze mnie na bok i opowiada:

— Wyobraź sobie, Hela goniła Żardeckiego, chcąc sprawić mu śmigus; nagle ten się obrócił i mając w ręku sikawkę w formie żabki zielonej, - ot tę tam na ziemi — prysnął na nią silnym strumieniem wody kolońskiej. Nieszczęście chciało, że Mania się w tej właśnie chwili między nich wsunęła, i trąciła Żardeckiego w rękę tak, iż cały strumień wody kolońskiej dostał się jej w oko.

— Ależ ona może stracić oko! — krzyknęłam przerażona i spojrzałam nienawiścią ku temu niezręcznemu mężczyźnie, który mimo swoich lat trzydziestu trzech, bawił się jak dziecko w śmigus.

Potrzebnie doprawdy!

— Nie pani — odpowiedział Żardecki, który się w tej chwili ocknął z zakłopotania, czy zadumy — jako specyalista, jako okulista mogę zaręczyć, iż żadnego niebezpieczeństwa niema.

Przy tych słowach pojawił się z powrotem na jego twarzy wyraz energii, oraz stanowczości, który dziwnie odbijał od oczu, bądź co bądź, przyznać to muszę, choć się gniewam na niego — pełnych zadumy słodkiej i miłej.

Gdy przecież Żardecki się ruszył ku Mani, by oko jej opatrzyć, ta, jak zwykle dziecko, a nadto dziecko pieszczone i niewytrzymałe w chorobie, przytem rozżalone na sprawcę swego bólu, oraz nieszczęścia, odepchnęła go gwałtownie od siebie i w żaden sposób zrazu przystąpić nie pozwoliła.

Ale Żardecki nie ustąpił łatwo. Prosił, pieszczotami obsypywał, całował, zaklinał (dziwnie był ujmującym w tej chwili tak, iż przelotnie na niego gniewać się przestałam,) aż wreszcie Mania ustąpiła, nie sprzeciwiała się, gdy oko obejrzał, wodą zimną przemył i białą przewiązał chustką.

Dopiero wówczas do mnie się zwrócił z przeprosinami, pocałował kilkakrotnie w rękę (całuje z tkliwością czułą, ale to nic dziwnego w takiej chwili wzruszenia i zakłopotania), wstawił się za nim i mąż Andzi, jako za swoim ukochanym przyjacielem jeszcze z czasów gimnazyalnych; cóż miałam tedy robić, powiedziałam, że się nie gniewam za siebie i za Manię, w duchu bynajmniej mu nie przebaczyłam. No, ale już późno, jeszcze zobaczę oko Mani, przemyję lekarstwem, które Żardecki zapisał i przysłał przez lokaja; potem zaś czas na spoczynek...

Dnia 6-go kwietnia.

Drugie święto wypadało 13-go kwietnia; kilka dni już minęło od wypadku, który mię tak przestraszył.

Mani lepiej, ale białko jeszcze mocno zaczerwienione i powieka spuchnięta; oko przewiązane przepaską.

Żardecki przychodzi dwa razy dziennie, chciał nawet trzy razy przychodzić, ale mu to wyperswadowałam, gdyż sama widzę, że już niebezpieczeństwa niema.

Obmywa tedy oko, zasypuje, a potem z Manią rozmawia, bawi się z nią, bałasuje nawet, a ku mnie tylko błagalnym spogląda wzrokiem, niby żak na swawoli złapany, który prosi o przebaczenie za psoty i krzyki.

I rzecz dziwna, Mania, która mężczyzn nie lubiła, przed panem Stefanem się chowa i jeść nie chce przy stole, skoro ten do nas przyjdzie na herbatę, z Żardeckim bawi się tak swobodnie, jak gdyby był on jej rówieśnikiem.

Kilka razy pozwoliła sobie za dużo, ponieważ potargała doktorowi wąsy i włosy, ciemno kasztanowate, ładnie ułożone i błyszczące.

Musiałam ją upomnieć, ale Żardecki wziął zaraz Manię w obronę tak, iż ja z uśmiechem zauważyłam, że na przyszłość oboje dzieci razem ukarzę.

Był to atoli jedyny moment dłuższej rozmowy obopólnej, gdyż Żardecki zachowuje się wobec mnie niezwykle grzecznie, ale zarazem niezwykle bojaźliwie.

Może sądzi, że się jeszcze na niego gniewam?

Muszę mu jutro dać delikatnie do zrozumienia, że się myli, bo ja nigdy do niego naprawdę żalu nie miałam; pociągający człowiek!

Dnia 11-go kwietnia.

Mania już zdrowa zupełnie, a zupełnie.

Chwała Bogu!

Żardecki oko obejrzał i oświadczył, iż niema zgoła żadnego śladu zapalenia. Dodał potem z jakąś dziwną miną, że rola jego już skończona i nie wypada mu nic innego zrobić, tylko jeszcze raz przeprosić za przykrość, którą mimowoli sprawił, oraz za najście domu.

Czułam, iż wypada mi prosić Żardeckiego, by uważał się teraz za znajomego i zechciał mię, a raczej nas, bo i o Mani nie trzeba zapominać, od czasu do czasu odwiedzać.

Czułam, że prosta grzeczność nakazuje mi tak postąpić, a przecież wyrazy utkwiły mi w gardle i w żaden sposób nie zdołałam ich wykrztusić.

Mania przez cały czas stała milcząca i zachmurzona tuż obok mnie.

Żardecki się żegnał, ale jakoś powolnie oraz ociągająco.

Teraz powinnam była go zaprosić, ale nie mogłam; bałam się, by inaczej mych słów nie pojął.

Szczęściem, zapowiedział, patrząc na Manię, iż jutro gwoli ostatecznego sprawdzenia — mimowoli położył nacisk na ostatnie słowo — jeszcze raz zjawi się u swej pacjentki.

A więc zaproszę go jutro.

Wieczorem rozgniewałam się na Manię. Dziewczyna zrobiła się nagle tak kaprysną i porywczą, że poznać jej nie mogłam. Beczała, nic a nic nie chciała jeść; czytała źle, jakby z umysłu, żeby mię rozgniewać, a patrzała na mnie z taką nienawiścią, jakbym jej największą krzywdę wyrządziła.

Dnia 12 go kwietnia.

Ktoby przypuszczał, iż Mania zachoruje na prawe oko?

Żardecki mocno się dziwił, kręcił głową, badał i przyglądał się, ale faktem jest, iż Mania wyszła do niego z okiem zaczerwienionem i załzawionem; on jednak nie rozumie przyczyny.

Na jego zapytanie, czy się nie uderzyła — odpowiedziała, że nie; na zapytanie, czy nie wpadło jej do oka ziarnko piasku lub nieco pyłu, odpowiedziała również, że nie; ale podczas tego śledztwa rumieniła się i kręciła.

Żardecki usiłował z nią żartować i bawić się po dawnemu, ale znać było w nim zakłopotanie, zdziwienie raczej, przyczem ciągle badawczo spoglądał ku Mani i przypatrywał się ukradkiem jej oku.

Ponieważ zapowiedział znowu, że jutro przyjdzie, przeto z zaprosinami postanowiłam poczekać do jutra.

Dnia 13-go kwietnia.

Tyle, tyle wypadków jednego dnia!

Ktoby się spodziewał, iż śmigus wielkanocny ostatecznie do takich doprowadzi rezultatów.

Przypadek zrządził, iż dzisiaj koło 3-ej chciałam Manię zawołać do lekcyi. Szukam ją w jednym, i w drugim i w trzecim pokoju; nigdzie jej nie ma. Nareszcie zaglądam do sypialni i oto, co widzę najlepszego

Moja panna Mania zapuszcza sobie w oko kropla po kropli wody kolońskiej.

Boli to ją widocznie, gdyż za każdą kroplą syka, łzy ociera, lecz zaraz ową reperacyę, co najmniej dziwną, zaczyna na nowo.

Rozgniewana, skoczyłam do Mani; ta usłyszawszy po za sobą szelest, obejrzała się i przestraszyła.

Butelka przepysznej wody kolońskiej wypadła jej z rąk i rozbiła się; mocny zapach wody w jednej chwili rozszedł się po pokoju.

Złapałam dziewczynę za rękę, całą zabeczaną i ciągnę ją do jadalni.

Aż tam raptem spostrzegam Żardeckiego, który zdziwiony patrzy na całą scenę, ale nic nie rozumie.

— Wyobraź pan sobie — wołam — ten nieznośny dzieciak, żeby tylko matkę zmartwić, zapuszcza sobie do oka wodę kolońską; wczoraj pewno to samo zrobiła.

— Proszę mamy — wśród łkania odpowiedziała Mania — ja wcale nie... nie... dlatego... żeby... mamę zmartwić...

— A dlaczego? — pytam, nie odgadując jeszcze prawdy.

— Żeby... żeby pan Żardecki codziennie do nas przychodził.

Ledwo Mania wybąkała te słowa, nastąpiła druga scena.

Żardecki zarumieniony, jak wiśnia, przyskoczył, objął Manię w pół i podniósłszy w górę, obsypywać zaczął pocałunkami.

Potem postawił ją na ziemi i nieśmiało zbliżył się do mnie.

— Pani — wyszeptał głosem drżącym, ale niewymownie miłym — czy zgodzisz się na to, bym został drugim ojcem Mani?

Mówił do mnie tak słodko, oczy jego błagały tak wymownie, że gdy Mania jeszcze wesoła i uradowana, zaczęła klaskać w dłonie, oraz wołać „tak! mamo, tak!“ w milczeniu na znak zgody, sama zarumieniona z kolei, podałam mu rękę.

. . . .

Za sześć tygodni nasz ślub.

Adam Nowicki.



Resurexit.

Chrystus zmartwychwstał! Proroctwa spełnione!
Prawda na krzyżu zabita — powstała:
Grobowe szaty mirrą przesiąknione
Wieją skrzydłami! Jasność Jego ciała
O ziem zwaliła straże przelęknione,
Anielska ręka pieczęcie zerwała!

A na światłościach świecą się rubinem
Rany zbawienia. Wstał! wstał Bożym Synem!
Daremnie piekieł szły nań wrogie siły,
Daremnie na śmierć całowała zdrada,
Fałszywych mędrców słowa potępiły!
Władza bez ducha, przelękniona, blada,
Ręce umyła. Daremnie wtórzyły
Głosy tysiąców: Ukrzyżuj! On włada
Ducha Królestwem, Daremnie! daremnie!
On krwawą ręką przemógł śmierci ciemnie.
Patrz! uciśnionych miljonów tęsknota
W czarną się rozpacz zmieniała bez końca,
Brama niebiosów zatrzasnęła złota,
Sciemniały blaski gwiazd i blaski słońca:
Nie wstanie prawda już! Pieczęć migota
Kamienie grobu na wieki łącząca;
Grób faryzejskiej tłuszczy będzie tronem,
Któż stanie w oczy jej — z Nowym Zakonem?

On wstał: On stanął! Alleluja światu!
Wstał! Płaczem wielkim świat Go wita cały.
U męczeńskiego stopy Majestatu
Skonała zdrada, obłuda w kawały
Pierś szarpie — przemoc w szatę ze szkarłatu
Rozpaczną kryje skroń, Szatan omdlały
W cierpieniach wieków blady się szamota,
I otworzyła śmierć — bramy żywota!

Wstał i boleśnym otwarłszy ramiona
Rzekł: Otom z wami jest po wszystkie wieki,
Krzyż mój, chorągiew na wiatry puszczona
Będzie przed wami wiał, skrzydłem opieki,
Dopóki stary świat w nowym nie skona!
W miłości morzu nie utoną rzeki
Stuleci długich, a około mej głowy
Nie błyśnie niebo nowe i świat nowy.

I rozdzwoniły się Stolicy dzwony,
Serc tysiąc jednem zadrżało westchnieniem—
O Chryste! Panie nasz! Bądź pochwalony
Każdą boleścią bądź, każdem cierpieniem...
Ran naszych tysiąc, wnosim ku Twym ranom,
Niech Twoim prawdom świadectwem się staną!

I rozdzwoniły się Stolicy dzwony
Po łez odmętach lecą harmoniami
O Chryste! Panie nasz, bądź pochwalony
Ojców boleścią bądź, i matek łzami
Modlitwą, co się z głębi gdzieś dobywa
Pieśnią skowronka bądź, co z mogił śpiewa!

I rozdzwoniły się Stolicy dzwony
Dalekich-bliskich nam ku modłom wzywa:
O Chryste! Panie nasz! bądź pochwalony
Modlitwą tęskną bądź, co w piersi śpiewa,
Gdy głowy ich rodzinny dach nie strzeże,
A płacząc mówią w dal: kocham i wierzę!

I rozdzwoniły się Stolicy dzwony:
Są tacy, którym rozpacz w pierś zajrzała,
O Chryste! Panie nasz! bądź pochwalony
Rozpaczą tą, co z krwawej piersi wstała,
Gdy niebios blask czarnemi okrył się chmurami,
Przebacz rozpaczy tej i daj wypłakać się łzami.

I rozdzwoniły się Stolicy dzwony
Nad niemi jeden wzbił się orła lotem:
O Chryste! Panie nasz! bądź pochwalony
Zasług tysiącem, walk tysiąca grzmotem,
Któremi przeszłość wielka ci świadczyła
O pochwalony bądź! Dla Ciebie żyła.

W tysiące dźwięków rozbił się dźwięk dzwonu,
Wodami leci, poszumia lasami:
O Chryste! Panie nasz! u Twego tronu
Chwałę ci nucim dziś, temi piersiami
Co roztrąciły nieprzyjaciół wały,
Których nie rozbił miecz, a dziś — spękały.

W tysiące dźwięków rozbił się dźwięk dzwonu
W płacz, w chrzęst bojowy, w wspomnień smętne dźwięki.
O Chryste! Panie nasz! Ty z twego tronu
Zbierz je, jak perły rozbite do ręki,
Bo oto dusze ich szał już porywa:
Dzwoń! stary dzwonie nasz! On Chrysta wzywa!...

Dzwoń! wszystko obejm spiżu krawędziami,
Serce o twarde rozhukaj krawędzie,
Leć, w dźwięków twoich niewstrzymanym pędzie
Z boleści naszych i chwały pieśniami,
Leć, leć, jak Anioł modlitwy do góry,
A poruszywszy tam niebieskie trony,
Zawołaj hymnem roztrąciwszy chmury:
— O Jezu, Chryste nasz! bądź pochwalony!

Wierzymy! Chryste, że błogosławieni
Cierpiący tutaj w twym Ducha Zakonie!
Wierzymy! Chryste, że nas opromieni
Swiatłość — w światłości wystąpim koronie...
Wierzymy Chryste! że jest policzony
Włos każdy, który spadnie z naszej głowy,
Że wiesz o każdej łzie matki i wdowy:
O Jezu! Chryste nasz! bądź pochwalony!

Wierzymy Chryste! żeś Ty sprawiedliwy,
A w dłoni Twojej śpią moce i cuda,
Wierzymy Chryste nasz! że nieszczęśliwy
Najbliższy Ciebie jest, złość i obłuda
U stóp Twych piorun wabi utajony,
Żeś Ty silniejszy jest, niż moce ziemi,
Że Ty opiekę masz nad płaczącemi:
O Chryste, Panie nasz, bądź pochwalony!

W tysiące dźwięków rozbił się dźwięk dzwonu
W murach utonął gdzieś, w fal upadł łzami:
Ozwij się jeszcze! tam u Zbawcy tronu
Raz jeszcze chwały rozhucz się pieśniami,
Raz jeszcze bolów zapłacz huraganem!
Od takiej pieśni pierś twa pęknąć może.
Nie! Myśmy grzeszni przed Ojcem i Panem
Niech bije skruchy dzwon: Przebacz nam Boże!

Przebacz! za ciężkie brzemię nas przygniata,
Lecz pod brzemieniem, duch srodze zmęczony
W bezwiarę świata i bluźnierstwo świata
Woła w pradziadów głos: Bądź pochwalony!

W Wielkanoc, 15. 4. 1900.

J. Sz.

Ojcze nasz.

Krótka noc letnia chyli się już ku jutrzence, pogasły gwiazdy, zbłękitniały szczyty tatrzańskich olbrzymów i coraz wyraźniej rysują się na niebie; można już rozeznać gęstwiny lasów, które pną się na zboczach górskich. Mrok rzednieje, jak gdyby sypało się srebro przez czarne sito. Ku wschodowi, kędy widnokrąg styka się z ziemią, zabłysnął purpurowy rąbek — to świt!

Niebo mieni się jak opal, a po niem płyną różane i białe obłoczki, heroldy jutrzenki. Dalsze szczyty ubrały się w szaty tkane z ametystów i szafirów, bliższe zakwitły jak róże. Z łąk podnoszą się opary, niby dymy kadzielnic, powietrze jest przesycone aromatem ziół i kwiatów. Ziemia rozbudza się, przedziwna świeżość wieje od niej. W zaroślach już się rozpoczęły rozhowory ptasie, chybkie jaskółki zataczają kręgi nad jeziorem, podobnem do olbrzymiej tafli z *lapis lazuli*, powleczonej srebrną siatką. Wielki orzeł zerwał się z turni i poszybował nad przepaściami; teraz spuszcza się w dolinę, i bijąc skrzydłami, rozdziera wiotkie mgieł przędziwo.

Jeszcze chwila, a z po za widnokręgów ukaże się słońce.

O witaj, źródło życia, najpiękniejsza pochodnio Boża! Nie dziw, że w zamierzchłych czasach, kiedy światło wiary, nie przeniknęło jeszcze ciemności bałwochwalstwa, ludy pierwotne olśnione twoim blaskiem, przejęte wdzięcznością za twoje dobrodziejstwa, czciły cię jak bóstwo pod imionami Ozyrysa, Horusa, Szamasza, Baala, Suryi, Feba.

Wraz z pojawieniem się słońca, ziemia zajaśniała rajską pięknością. Wierzchołki gór zabłysły oślepiającą bielą i tak chciwie pochłaniały światło, jak gdyby chciały nasycić się niem, zagarnąć je wyłącznie dla siebie. Od siwych granitów uroczo odbija szmaragdowy aksamit murawy i poważna zieleń borów iglastych. Łąki wyglądają jak gdyby zalane płynnem srebrem; kielichy kwiatów kłonią się pod ciężarem kryształowych kropel, jak dusza ludzka, uginająca się pod brzemieniem szczęścia. Na każdym listku perli się rosa, na każdem źdźble trawy drżą brylanty, iskrząc się w słońcu tęczowym ogniem. Wszędzie rozsypana jest taka moc pereł i drogich kamieni, że nawet w zaczarowanych pałacach Aladyna nie znajdziesz podobnych bogactw.

Mrok przyczajał się w wąwozach i gęstwinach, zewsząd wypierany przez światło. Skończyło się jego panowanie, więc skrył się w bezdenne przepaście, w leśne knieje, skąd słońce nie miało siły go wyprzeć. Strzępki podartej mgły wieszały się u krzewin głogu i tarniny, między gałęziami świerków, w rozpadlinach skalnych, broniąc się od zguby. Daremne usiłowania! wiatr je rozprasza, słońce wypija.

W gęstwinach leśnych brunatne pnie sosen świecą barwą bronzu. Świerki i jodły, na kształt świeczników, rozpościerają zielone ramiona.

Wiatr potrącił o lustrzaną toń jeziora i fale zadźwięczały niby struny harf eolskich; potoki zagrały hejnał, rozśpiewało się wszystko ptastwo, rycerską nutą zaszumiał stary bór.

Tak cudnie i przeczyście wyglądała ziemia, kiedy wyszła z rąk Stwórcy, zanim zbrukały ją grzechy i nieprawości ludzkie.

Cała natura śpiewa Hosanna: ale gdzież głos człowieka, istoty uprzywilejowanej, której dano królowanie nad światem?

Najważniejszego akordu brak w tej symfonii porannej.

Usłyszymy go za chwilę...

I oto stała się wielka cisza, a w niej zabrzmiał chór niezliczonych głosów ludzkich. Jedne były smutne i zbolałe, inne pełne ufności i wiary, odzywały się zaś wszędzie: na morzach i lądach, na nizinach i na szczytach górskich, w głębi mrocznych kopalń i wśród wielkich mrowisk stołecznych, w chatach i pałacach, w marmurowych świątyniach i ubożuchnych kościołkach wiejskich. Były między niemi wesołe głosy dziecięce i drżące głosy starców.

Cała ludzkość modlitwą wita dzień wschodzący....

Jakaż to modlitwa dąży do stóp Przedwiecznego

Najpiękniejsza i najwznioślejsza ze wszystkich, Modlitwa Pańska, której Chrystus nas nauczył. Chóry serafinów umilkły wówczas w raju, aby usłyszeć słowa, wychodzące z ust Boga człowieka.

Ojcze nasz, któryś jest w niebie! — wołają teraz miliony głosów we wszystkich językach świata. Pan nieba i ziemi, przed którym aniołowie na twarz padają, pozwala nam nędznym robakom zwać się Ojcem! Każdy człowiek, od króla do żebraka ma prawo odzywać się do Niego jak syn. Ale dzieci jednego Ojca są zarazem braćmi i wymawiając te wyrazy, sami stwierdzają braterstwo.

Swięć się imię Twoje! — modlą się chrześcijanie O niech będzie po stokroć błogosławione to Imię Najświętsze, przed którem zgina się wszelkie kolano: niebieskie, ziemskie i piekielne! Dla Niego dotąd leje się krew męczenników, przed Niem truchleje moc szatańska, z Niem każdy pragnie przestąpić progi wieczności, albowiem „Wieża najmocniejsza Imię Pańskie, do niej się ucieka sprawiedliwy i wywyższon będzie, a wszelki, któryby wzywał Imienia Pańskiego, zbawion bę-*Przyjdź Królestwo Twoje!* O Panie, o czem Ty nam marzyć pozwalasz! jakie cudowne roztwierasz przed nami widnokręgi! Królestwo Twoje! alеż to byłby raj na ziemi; gdyby ono zapanowało, nie mielibyśmy czego zazdrościć niebianom. Przybądź, szczęsna chwilo, kiedy wiara i cnota na nim zakwitną, kiedy światem zawładnie prawda i sprawiedliwość, kiedy całe plemię ludzkie usłucha słodkiego przykazania miłości. Nie będzie wówczas grzechu, bólu i nędzy, nie będzie ciemnoty i rozdwojenia, nie będzie bratobójczych wojen; ludzie staną się podobni aniołom i zgodnie wysławiać będą Ciebie. Boże, miej wzgląd na błaganie nasze i tęsknotę i ześlij nam jaknajrychlej upragnione Królestwo Twoje!

Bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi. Wśród modlitewnego chóru tysiące głosów zadrgało tłumionym bólem, nie wypłakanemi łzami, katuszą serca, które w rezygnacyi szuka balsamu na swoje rany. Zawtórował im rzewny szum boru i ciche łkanie potoków; wszystkie kwiaty smutnie pochyliły główki, wszystkie zadrżały gałązki a na ziemię zaczęły kapać wielkie perliste krople, niby łzy.

Wobec otwartych mogił, zawiedzionych nadziei i uwiędłych radości, wobec gromów, któremi Bóg druzgocze naszą pychę, wydziera nam mienie, okrywa żałobą, cóż innego pozostaje, jak pójść za przykładem Chrystusa na górze Oliwnej, kiedy, wypraszając się od męki. dodał: „A jednak nie moja, lecz Twoja wola niech się stanie.“ W tym samym okrzyku rozdarte dusze składają brzemię trosk i niedoli u stóp Przedwiecznego, krzyż staje się lekkim, gdyż Zbawiciel pomaga go dźwigać, łzy już nie są zaprawne piołunem i niebiańska słodycz poddania koi ból udręczo nego serca.

Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj.... Przy tych słowach, miliony głosów gorącą wybuchają prośbą. Dla zdobycia tego kęsa chleba, rolnik w pocie czoła kraje pługiem rolę i rzuca w nią złote ziarno, górnik we wnętrzu ziemi twardą kruszy opokę, żeglarz na okręcie dalekie przepływa morza, tłum robotników mozoli się w warsztatach i fabrykach. Ale żeby praca ludzka plon przyniosła, trzeba Twego błogosławieństwa, Ty użyźniasz rolę deszczem, ogrzewasz ziarno ciepłem słonecznych promieni: Ty czuwasz nad górnikiem, kiedy walą się pieczary, woda zalewa kopalnie, zabójcze wybuchają gazy; Ty chronisz od nawałnic okręty i zbłąkanych żeglarzy do bezpiecznej przyprowadzasz przystani; Ty zsyłasz genialne myśli wynalazcom, dajesz siły i wytrwanie robotnikom.

Czemuż, o Panie, tylu jest łaknących na ziemi? czemuż jednym brak kawałka czarnego chleba, kiedy inni, przesyceni, odsuwają od siebie najwybredniejsze przysmaki? Spraw niech głód niczyich nie szarpie wnętrzności, niech żadna spragniona dziecina próżno nie wyciąga rąk do matki. Nasyć ich o Wszechmocny, co na pustyni cudownym sposobem karmiłeś Eliasza, Swiętemu Pawłowi w Tebaidzie przez lat 90 przysyłałeś codzień pożywienie przez kruka. Wysłuchaj ich, o Chryste, gdyż sam głód cierpiałeś, sam przez litość rozmnażałeś chleb i ryby nad jeziorem Genezaret, aby nie było głodnych wokoło Ciebie.

Chleba naszego powszedniego! Słowa te nie mają znaczenia dla ludzi, którzy nigdy nie zaznali braku. Miliony wymawiają je błagalnie, gdyż nie wiedzą, czem jutro przeżyją.

Odpuść nam nasze winy..... W powietrzu zaszumiało wielkie westchnienie żalu i skruchy. Ludzkość z pokorą bije się w piersi, prosząc Pana o przebaczenie. Taki ogrom grzechów kala dusze człowiecze, że przyszłoby zrozpaczyć, gdyby nie ufność w miłosierdzie Boże. Szala nieprawości obciążona jest nad miarę, ale przeważa ją wciąż druga, pełna krwi Zbawiciela.

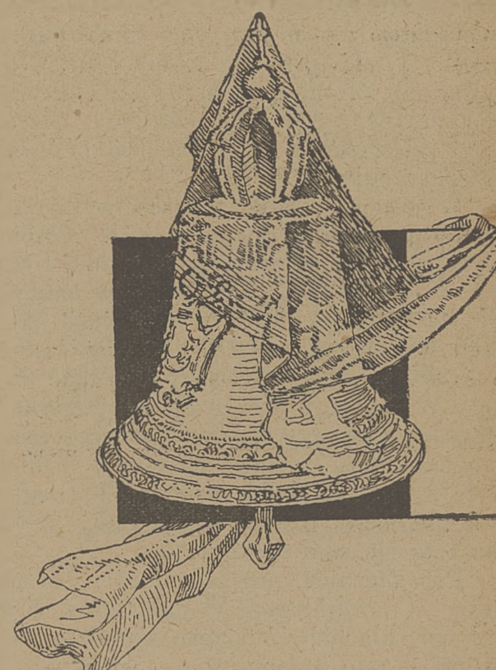
Przy słowach: *„jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“*, cieplejsze tchnienie powiało nad światem. Zaiste, nie wart jest przebaczenia ten, kto sam nie idzie za przykładem Chrystusa i miłością nie darzy bliźnich. Tej szlachetnej zasady nie znało pogaństwo, ani nawet prawo Starego Zakonu, które nakazywało oddawać „oko za oko, ząb za ząb.“

I nie wódź nas na pokuszenie. Człowiek jest tak ułomną istotą, tak pohopną do grzechu, tak łatwo ulegającą popędom namiętności, a tu zewsząd czyha na niego złe, przybrane w powabne szaty, nęcą go ułudne mary, podobne do owoców z nad morza Martwego, co z wierzchu świetnym wabią pozorem, a wewnątrz są pełne zgnilizny i popiołu. Broń go, o Panie, odsuwaj zbyt ciężkie próby, pomnij na jego słabość, uwzględnij skażoną naturę.

Ale nas zbaw ode złego. Tyś puklerzem i ucieczką naszą, o Boże! Ty litujesz się nad niemocą człowieka i zsyłasz mu Anioła Stróża, aby miał pieczę nad nim. O jakaż to ciężka i niewdzięczna służba! Przeczyste duchy niebieskie muszą przebywać na ziemi skalanej zbrodniami, muszą patrzeć na grzech, który się na niej rozwielmożnią. Jakaż to boleść dla nich, kiedy ludzie, nie czuli na święte ich natchnienia, słuchają podszeptów szatana i głosu własnych namiętności! Anioł zasłania wówczas promienne oblicze i odlatuje do nieba po gwiaździstym szlaku, otrząsając białe skrzydła z pyłu ziemskiego. O Panie, nie dopuść, aby święty Obrońca miał nas porzucić, nie pozwól, aby nasze dusze stały się pastwą złego!

Ostatnie *Amen* zabrzmiało niby dźwięk dzwonu, stokrotnem echem odbiło się o skaliste turnie i skonało wśród szumu lasów i grania potoków.

Modlitwa ludzkości popłynęła do stóp Przedwiecznego. *Z.*



DZWONY.

Słyszysz?... W kościele ozwały się dzwony
W oddźwięk powagą mierzony...
Raz chór potężny zwycięztwo wydzwania,
Grzmotem uderza w błękity?
TO znów posępnie milknący, rozbity,
Zamiera w jękach konania.

Zagrały dzwony!... Spiżowe ich brzmienie
Do życia budzi wspomnienie;
Myśl nasza goni za doczesną marą.
Lub z dźwięków złączona echem,
W niebo anielskie wzlatuje z pośpiechem,
Z dziecięcą w cudowność wiarą.

Zagrały dzwony!... Rzesza klaszcze w ręce;
„Kolenda!“ W nędznej stajence

Bóg się narodził dla zbawienia ludzi!
Tłum po kościołach się tłoczy,
Niebiańska radość załzawia mu oczy,
Północ Pasterką świat budzi.

Znów grają dzwony!... Na głos ich wspaniały
Ziemie w posadach zadrżały!
Chrystus zmartwychwstał! Męka Zbawiciela
Świtaniem życia śmierć czyni...
Grzmi ALLELUJA... to gody świątyni,
To Wielkanocna niedziela!

N. S.

NOWE ŻYCIE.

(Nowelka).

Karol Złotnicki pracował pilnie przez całą zimę, tak aż mu się palce nieomal wykrzywiły od pisania.

O, gdyby w pokoju jego tylko ciepło było! Ale mały żelazny piecyk stał od dawna już bez użytku. Pan Karol Złotnicki nie miał pieniędzy, a chociaż czasem otrzymywał jakie zajęcie, to nie wystarczało mu to na życie i kupowanie węgli. I jaka przytem ironia losu! Nazywać się Złotnickim, a nie mieć nawet miedziaków! Ale Złotnicki był uczciwym człowiekiem i nie szemrał przeciw przeznaczeniu.

W jesieni stracił miejsce w banku, ponieważ bankier zbankrutował. Potem starał się o inne, wszystko jednak było już zajęte. Tak, gdyby mógł złożyć trzysta marek kaucyi, to co innego. Ale zkąd wziąść taką sumę? Trzeba zatem było wyrzec się tej posady i szukać dalej. W styczniu udało mu się pozyskać miejsce pisarza w jakiejś fabryce. Kazano mu pisać tysiące adresów — miał więc zajęcie na kilka tygodni, ale zarobek był mały, bardzo nawet mały. A teraz i to się nawet skończyło!

Pan Złotnicki przepędzał całe dni na ulicy — czytał gazety, ogłoszenia, biegał po składach, ofiarując wszędzie swe usługi — ale daremnie!

Na pierwszego kwietnia oświadczyła mu gospodyni, że jeżeli do 15-go nie zapłaci za mieszkanie, będzie się musiał wynosić.

Wiadomość tę przyjął milczeniem, bo i cóż miał na to odpowiedzieć? Biedak nie miał szczęścia!

Dziś po raz pierwszy jasne zaświeciło słońce, po długich dniach śniegu, deszczu i niepogody. Pan Złotnicki poszedł do lasku za miastem, i nareszcie zmęczony, głodny, chciał nieco wypocząć. Nic jeszcze od rana nie miał w ustach — prosił wprawdzie znajomych o pożyczenie kilku groszy, ale Wielkanoc nadchodziła i każdy miał innych wydatków aż nadto.

Na ławce, do której się teraz zbliżał, ujrzał siedzącego mężczyznę. W następnej zaraz chwili przebiegł zimny dreszcz członki pana Złotnickiego, a krew ścięła mu się w żyłach.

Nieznajomy bowiem wyjął właśnie rewolwer z kieszeni, i podniósł go do wysokości skroni...

— Co pan robisz! Na Boga! — krzyknął Złotnicki. Jednym skokiem stanął przy ławce i uchwycił ramię nieznajomego.

— Czemu pan się wtrącasz do moich spraw? — zawołał szorstko niedoszły samobójca.

— Ależ pan chcesz popełnić coś okropnego, i moim obowiązkiem jest nie pozwolić na to!

— Mówisz pan tak, bo nie znasz powodów, zmuszających mnie do...

— Głupstwo — przerwał Złotnicki dobrodusznie, a patrząc na wytworne ubranie młodzieńca, dodał z uśmiechem:

— Zdaje się, że troski o byt pan nie znasz. Jesteś młody, zdrowy i silny...

— Są jeszcze inne powody!

— Wierzę. Przyznaję, że życie staje się nieraz ciężarem, ale trzeba go znieść. Posłuchaj pan, w jakiem ja obecnie znajduję się położeniu!

I w kilku słowach opowiedział mu o swej biedzie i niedoli. Młodzieniec słuchał zdumiony.

— I pomimo to nigdy nie zeszedłeś pan z prawej drogi — zawołał. — Tem gorzej dzieje się ze mną! Wychowany w zbytkach, stałem się marnotrawcą, okradłem ojca, i wypędzony z domu, nie mam odwagi żyć dalej! Pogardzam sam sobą!

Z głuchym jękiem zakrył nieszczęśliwy twarz.

Złotnicki uczuł się głęboko wzruszonym. Milcząc, patrzał na płaczącego młodzieńca, nie wiedząc, w jaki sposób go pocieszyć. Nagle rozjaśniło się jego czoło. Szybkim ruchem ujął leżący na ławce rewolwer i spojrzał uważnie na srebrną jego rękojeść. Doprawdy nie mylił się! Było tam wielkiemi literami wyryte imię „Jan B.“

— Uspokój się pan — zawołał — może ojciec raz jeszcze ci przebaczy. Zdarza się to przecież często. Dziś naprzykład czytałem w gazetach pewien anons — o, mam nawet ów dziennik przy sobie: „Janie, wracaj! Ojciec przebaczył. Twoja nieszczęśliwa matka oczekuje cię z upragnieniem!“

— Jan? Mówiłeś pan, Jan? Ach, to ja! — krzyknął młodzieniec. — Ale to być nie może, a jednak... Tak, wiem już, matka wstawiła się za mną! O Boże nie jestem godzien takiej miłości!

— Więc stań się pan jej godnym — rzekł Złotnicki poważnie. — Wróć do domu i szczerą skruchą i poprawą zgotuj rodzicom radosne i wesołe święta Wielkanocne.

— Skruchą i pokutą! Tak jest, masz pan słuszność! Dzięki Bogu, że na to jeszcze nie zapóźno! Ale pan ocaliłeś mi życie, dodałeś mi nowej otuchy, chociaż sam znajdujesz się w położeniu, w jakiem człowiek traci wszelką odwagę. Będę panu wdzięcznym za to aż do śmierci! Wymień mi twoje nazwisko i mieszkanie i zabierz ów rewolwer. Jutro przyjdę po niego!

Nazajutrz, w pierwsze święto Wielkanocne, przybył Jan rzeczywiście do Złotnickiego, ale nie sam, tylko w towarzystwie ojca, który ze łzami dziękował wybawcy swego syna.

Obydwa święta przepędził Złotnicki w domu rodziców Jana. Potem rozpoczęli obydwaj pracę i rywalizowali zawzięcie o to, który z nich więcej zdziała. Była to szlachetna walka.

Co rok, w Wielką Sobotę, wychodzi Jan z swoim najlepszym przyjacielem do lasku za miastem i obydwaj odpoczywają z głębokiem wzruszeniem na owej pamiętnej ławce, na której się przed laty poznali.

M. P.

Uroczysty dzień.

Znikły śniegi, prysły lody,
Popłynęły modre wody
W nieskończoną dal —
A natura piękna cała
Czarem wiosny zmartwychwstała
Wśród tęczowych fal!

Rozsunęły się podwoje,
Błysły łask i uciech zdroje...
Zanikł smutku cień —
Obchodzimy dzień wesela
Zmartwychwstania Zbawiciela
Uroczysty dzień!

W sercach naszych skra nadziei,
Że wśród bolów, klęsk, zawiei
Nowy zalśni świt —
Że nam wkrótce dasz o Panie
Upragnione Zmartwychwstanie...
Niepodległy byt!

Adam Wilusz.

Sambórz (Galicya), 15. 4. 1900.

DZIAŁ LITERACKI.

Jan Kasprowicz.

Szkic literacki.

Napisała **Róża Erzepkowa.**

(Ciąg dalszy).

I nie dała jej spokoju tęsknota za kątem własnym — wciąż choć przez płot zaglądała na podwórko, na którem dawniej była panią — zawsze znalazła drogę koło owej ukochanej chaty, gdzie była na swojem, — aż wreszcie nad życie takie w tęsknocie i łzach — przeniosła śmierć. Antek o świcie, nabierając koniom wody, ze studni wyłowił ciało Wasia i Jewki.

Znalazła więc śmierć na swojem.....

„Na służbie“ to dzieje dziewczyny wiejskiej, która poszła do miasta na służbę i tam upadła. Poeta w uwadze poprzedzającej ten poemat przyznaje, że jest to temat do pewnego stopnia zużyty. „Jeżeli jednak pokusiłem się o podjęcie tego samego tematu, to nie ze względu, jakobym wierzył, że powiem tutaj coś nowego. Nie! zdawało mi się tylko, że upadek dziewczyny, jak w niniejszym poemacie, wysoce m o r a l n e j, r e l i g i j n e j, p r z y w i ą z a n e j d o m a t k i i n a r z e c z o n e g o, posiada w sobie tyle tragicznych momentów, że warto było tema-

towi temu poświęcić raz jeszcze strof kilkadziesiąt.

Dziewczyna, pożegnawszy się czule z matką, idzie w nieznaną przyszłość — rozpamiętując życie swe dotychczasowe i marząc, jak to matuli grosz zarobiony odsyłać będzie, jak to majątek uzbiera „za posyłki, za różne bieganie.“ Z początku istotnie raz po raz do wsi przychodziły większe lub drobniejsze kwoty— matka z dumą pokazywała kumom i podarki i listy swojej Jagusi. — Ale później — Jagusia przestała pisać. — Matka wieści nie mogła się żadnej doczekać — w nocy — w wicher i zawieruchę idzie do swej Jagusi — bo ona pewnie chora, kiedy do matki nie pisze. I układa sobie po drodze, jak ona to pójdzie do tych państwa i co i jak im powie — ale pani drzwi jej przed nosem zamknęła — córka, mówi, zgorszenie wniosła do domu - więc ją wygnała i nie wie, gdzie teraz się obraca.

Matka ogłuszona w niedoli swej szuka ratunku w kościele — tam dotąd przyszła i Jagusia i Bogu spowiada swe nieszczęście. Spowiedź jej krótka, a dzieje zwykłe. Dziewczyna spodobała się panu. — Poeta kreśli z przejmującym smutkiem jej walkę wewnętrzną — dziewczyna była uczciwa — broniła się sama przed sobą przysięgą daną matce i wspomnieniem Antka — lecz pan mędrszy był od prostej dziewczyny i zwyciężył w końcu....

W inne stosunki wprowadza nas poeta w poemacie: „Dwaj bracia rodzeni.“

Jest to opowieść z życia ludu kujawskiego — na tle seperacyi przeprowadzonej przez rząd pruski około drugiej połowy bieżącego wieku, która zniosła gminne pastwiska, torfowiska itp.

Zbrodnię spłodzoną, jak opiewa przedmowa, przez indywidualizowanie własności maluje poeta sześciowierszowemi strofami:

„Żyli we wsi dwaj bracia rodzeni,
Dwaj rodzeni żyli braciszkowie;
Nie zabrakło im grosza w kieszeni
I rozumu nie zabrakło w głowie.
A jak blask ten z słonecznych promieni,
Tak tryskały z nich młodość i zdrowie.“

Tym dwom braciom rodzonym umierający ojciec zostawia chatę i rolę, i żyć poleca zgodnie wedle przykazu, „co moje, to twoje!“ Mijają dwa lata — bracia pełnią święcie wolę zgasłego:

„Ich miłości przepełna jest chata,
Dwaj rodzeni nie pójdą na miecze.“

Lecz z „Polusią bratową“ jakieś licho, zda się, zakradło się do chaty, w której dotąd zamożność i zgoda panowały. To licho, to pycha „z dobytku płynąca.“

„Ej! z dobytku płynąca ty pycho!
Już ty z złotych nie jesteś promieni!
Jak ta nocka, tak skradasz się cicho,
Nie zasypia złe w kojcu twych cieni —
Na rodzonych uwzięło się licho,
Nie poznali już siebie rodzeni....

Tak!... tak... licho nie sypia lecz kusi!
Na rodzonych uwzięło się licho
I nasamprzód do ucha Polusi
Zacznie szeptać, jak listek, tak cicho:
„Jedno panem w chałupie być musi“ —
Ej! z dobytku płynąca ty pycho!“

Jad, który serce jej żre, sączy Polusia z przewrotną sztuką w duszę młodszego brata, a męża swego. Nie ominie żadnej sposobności — to zawodzi, że „nie wie, czyją oprząta dziś krowę, czyj groch sypie do tego garnuszka“ — to znów narzeka, że rozum zbadać nie może, „czy to nasze, czy jego bratowe?!..“ A co będzie dopiero, gdy brat starszy zapragnie także „ślubne zgotować posłanie?“

„Cóż się wtedy w obejściu tem stanie?
Jak ten złoty miesiączek na niebie,
Ni dwie sługi tu będą, ni panie!...“

To czułem słowem, to powtarzaniem plotek nibyto obiegających wieś — to wreszcie ciągłem troskaniem się o losy przyszłego dziecięcia, które, jeśli brat się ożeni, kością będzie niezgody — zasiewa w duszy męża uczucie upokorzenia i nienawiści, które sztucznie podsyca, za jedyny ratunek zalecając uczynienie „rozdziału.....“

Wkrótce „kto wierzy, niech wierzy,“ brat starszy „spadł z warstwy“ i zabił się na klepisku.... Lecz coś po młodszym nie widać radości, że nareszcie panem jest w chałupie.... Milszą mu karczma niż dom. —

„Ni mu żona dziś w sercu, ni dziecię —
Tak!... zapomniał braterskiej miłości,
Więc mu kołkiem stanęło już życie...
Dawniej z roli miał tysiąc radości,
Dziś i rola — jak gdyby na zbycie,
Rodzi kłosy, co pełne są -- czczości....

Aż i wzięli obcy ojcowiznę, a wyrzuty sumienia strawiły mu serce i rozum.

Nie mniej przejmujący jest i ostatni w tym zbiorku utwór, zatytułowany „Salusia Orczykówna.“ Poematowi temu zarzucono, jak sam poeta w przedmowie przyznaje, zbytnią rozwlekłość. Na zarzut ten poeta odpowiada, że rozwlekłość ta jest umyślną, chciał bowiem zachować charakterystyczną właściwość opowieści chłopskich.

„Wypadki stanowiące treść, „Salusi Orczykówny“ tyle poruszyły stron w duszy chłopa, nad którym przeważnie zaciężyły, że ścisłe „skupienie“ myśli około jednej z ich ofiar było w danym razie po prostu niemożliwem.“ Opowiadanie o losach Salusi, która stała się ofiarą nowego właściciela wioski, Niemca, i wypędzona przez ojca – pośmiewisko całej wsi — poszła do miasta „do żydów“ i w rozpaczy i obłąkaniu dziecko żydowskie, które karmi, zabija — wkłada poeta w usta chłopa, Ignacego Walkowiaka, który sam przyznaje, że

„ ....Kiedy serce pełne
To staremu tak się wszystko pląta,
Jak byś widział rozczochraną wełnę...“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

„Księgarnia Polska“ w Poznaniu ma na *głównym składzie* piękne wydawnictwo *„Galicya w obrazach“* p. K. Woźniaka. Pierwszy zeszyt w bardzo udatnych ilustracyach przedstawia nam Lwów i cenniejsze jego zabytki wraz z opisem wyczerpującym odnośnych rycin, skreślonym przez poważnych autorów, jak p. Stanisław Schnür-Pepłowski, Łuszczkiewicz, Pieniążek i inni. Zeszyt ten mieści nadto widoki Krakowa, Sukiennic, Wawelu, zaopatrzone również w obszerne objaśnienia i uwagi. Drugi i trzeci zeszyt „Galicyi w obrazach“ zawiera „Groby królewskie na Wawelu“. Po otrzymaniu odnośnych zeszytów napiszemy o nich obszerniejszą wzmiankę, dzisiaj zaznaczamy tylko że wydawnictwo p. Woźniaka może śmiało zdobić stół każdego salonu, bo jest nie tylko, miłe dla oka, ale i dla serca polskiego.

„Księgarnia Polska“ poleca nadto piękną rozprawę p. dr. Waszyńskiego „Adam Mickiewicz, jego historyozoficzne i społeczne poglądy“. Autor odczytał zajmującą rozprawę swoją w Tow. Przyj. Nauk. Polecamy przeczytanie jej w tej osobnej odbitce z roczników Tow. Przyj. Nauk.

Wreszcie nakładem księgarni Altenberga we Lwowie i księgarni polskiej w Poznaniu wyszedł pierwszy tom dzieła „Parlamentaryzm“, zarys socyologiczny, dr. Zygmunta Balickiego.

(Księgarnię polską w hotelu Francuzkim (właściciel p. Tempłowicz) polecamy przy tej sposobności usilnie względom Szanownych Czytelników i zwracamy ich baczną uwagę na odnośny inserat stale w „Pracy“ zamieszczany. Przyp. Red.)

Dział kobiecy.

Kwiaty.



Zwyczaj obdarzania się kwiatami jest prastary, pochodzi zaś z dalekiego Wschodu. Mamy jednak głównie na myśli kwiaty, które mężczyzni dawają kobietom, i okoliczności, w jakich się to zwykle dzieje. Skłonność mieszkańców Wschodu do wszystkiego, co tajemnicze i zagadkowe, z drugiej zaś strony rozmaitość barw i woni, nadawają kwiatom zdolność wyrażania naszych myśli i uczuć, to też z biegiem czasu wynaleziono systematyczną „mowę kwiatów“, która po całym rozpowszechniła się świecie, i służyła nieraz do porozumienia się ludzi, mianowicie — zakochanych.

Któż z nas w młodości nie zajmował się chociaż na chwilę ową poetyczną wróżbą i „mową kwiatów“, odgrywającemi w miłości tak ważną rolę! Ileż stokrotków i listków akacyi padło ofiarą białych paluszków dziewczęcych, ileż westchnień uniosło się w dal, gdy usta szeptały za każdym oberwanym listkiem: „kocha, lubi, szanuje...“ I nieraz może przepowiednia sprawdziła się...

Więc kwiaty mają mówić, gdy usta milczą, chcąc zaś jak najwyraźniej myśli swe wyrazić, trzeba dobierać stósownych kwiatów. I tak podaje tutaj gimnazyasta swej pierwszej miłości różę, która jest nieomal tak czerwoną, jak twarz młodzieńca; tam trzyma wytworny Don Juan w swych ubrylantowanych palcach przepyszny bukiet i wręcza go gwiaździe baletu, a małe puzderko z kosztownym klejnotem ukryte widocznie pomiędzy kwiatami, dodaje im więcej powabu. Tu stroi narzeczony główkę ukochanej pierwszemi zwiastunami wiosny, tam uśmiechnięta gospodyni domu odbiera kwiaty od stałego gościa i rzuca niedbale na stół, gdzie biedne kwiatki więdną, zapomniane; jednem słowem, przy każdej sposobności składają mężczyzni kobietom kwiaty w ofierze. Pewnych granic naznaczyć tu wcale nie można, sposób dawania kwiatów zależy jedynie od taktu i osobistych zapatrywań, etykieta więc musi milczeć dopóty, dopóki podarunek ogranicza się na kwiatach samych, bez wszelkich dodatków, bez wszelkich kosztownych trzymadeł, bez wspaniałych żardinierek, koszów, wazonów itp.

Ale wracajmy do „mowy kwiatów“. — Znaczenia wszystkich kwiatów podać tu nie możemy, ograniczamy się tylko na kilku, a wiadomość tę zawdzięczamy pewnej bardzo starej książce francuzkiej, ułożonej podobno podług dawnego arabskiego podania. I tak są wszystkie kwiaty koloru białego bardzo złym znakiem dla zakochanych — w mowie kwiatów znaczy to: niestała miłość, obojętność, znudzenie i chęć odzyskania wolności. Biały aster mówi: „wolę inną.“ Bukszpan: wierność aż do śmierci, lewkonia: szczęście bez granic, konwalia: tajemną miłość, bez: tęsknotę, morska trawa: pocałuj mnie, heliotrop: kocham cię, rezeda: wolę umrzeć, niż być twoją, dzika róża: propozycyą ucieczki (a więc w naszych czasach niestósowna). Nawet liście piwonii odgrywają tu rolę, ilość liści oznaczała godzinę dnia, o której zakochani potajemnie spotkać się mieli. Róże były zawsze symbolem miłości, im kwiat czerwieńszy, tem miłość gorętsza, róża biała znaczyła zupełną obojętność. Wszelkie kwiaty żółte były znakiem zazdrości, a nasza pospolita majówka błotna wyrażała okrutną groźbę: zabiję cię, jeżeli pokochasz innego.

I tak po wszystkie czasy i na całym świecie były i są kwiaty pośrednikiem naszych uczuć, chociaż w rozmaitej formie. Niezerwane, są one źródłem czystej rozkoszy, piękna i połączonego z niem dobra, a byłoby znieważeniem tych uroczych dzieci przyrody i znakiem braku wszelkiego poczucia piękna, gdyby ktoś chciał brzydkie i nizkie namiętności ukryć w przepychu barw i słodkiej ich woni.

Oska.

Najnowsze mody.



Toaleta wizytowa.

Śmiech i charakter.

Francuscy uczeni zajmują się właśnie bardzo ciekawą kwestyą. Oto starają się się ująć w formułki tezę, na podstawie której możnaby z rodzaju śmiechu danego człowieka poznać jego charakter. Spostrzeżenia ich w tym kierunku są jeśli już niezupełnie słuszne, to przynajmniej ogromnie ciekawe. Podamy ich parę próbek.

Charakterystyczny śmiech, streszczający w szerokiem i pełnem życia: „cha, cha, cha!...“ oznacza dużą dozę szczęścia, otwartości, ogółem grunt dobry i zacny. Czasem jednak oznacza i charakter zmienny, na którym nie zawsze polegać można.

Przeciągłem, chichotliwem „i i i...“ śmieją się przeważnie wszystkie dzieci, a przytem osoby, pełne uniżonej usłużności, poddające się pozornie wpływom otoczenia, ale niemniej chytre, a nawet przewrotne. Krótkie „o“ oznacza szlachetność wylaną i śmiałość, nieliczącą się ze środkami.

— Jeżeli spotkasz człowieka — powiada jedna z dalszych formułek, który ci parsknie śmiechem urywanym i jakby przyduszonym „u!...“ ustąp mu najlepiej z drogi. albowiem jest to nieprzyjaciel ludzkości!

Tak wyglądają najnowsze klucze do rozwiązania zagadki charakterów ludzkich. Nie zawsze one są pewne, ale w przeważniej części nie zawodzą. Najlepiej robić obserwacye w teatrze podczas przedstawienia jakiejś farsy, gdzie śmiech niewyszukany i nie robiony gwałtem się ciśnie na usta.

„Cała ta historya, poparta przykładami, wyglądałaby tak:

Oto książę Walii i książę rejent bawarski Luitpold śmieją się krótkiem urywanem: „hu! hu! hu!“... a przecież nikt obu z nich nie posądzi o krwiożercze zapędy przeciw ludzkości. Jest to pewnie wyjątek od przytoczonej niedawno reguły.

Car Mikołaj II nigdy nie śmiał się wobec poddanych i tylko nieznaczny przymus twarzy, połączony z krótkiem „prychaniem“ oznaczał, iż władzca jest rozbawiony. Chociaż znowu opowiadają, iż w pożyciu domowem śmieje się nieraz na całe gardło przeciągłem: „cha cha cha!...“ Król włoski Humbert śmieje się całą gamą tonów, spadającą do najniższych tonów, co zdaleka robi wrażenie przeciągłego wołania o pomoc. Król serbski Aleksander składa usta do wąskiego grymasu i rozpoczynając chichotliwem „i“ przechodzi następnie do otwartego „a!...“, jego ojciec Milan śmieje się z powagą kupca-bankiera i jakby z czkawką, przyczem klepie się poważnie po..... żołądku. Król rumuński Karol śmieje się jakby z przymusem cicho i nieznacznie, przyczem czyni najpocieszniejsze grymasy. Ferdynand bułgarski wybucha krótkiem urywanem: „he, he, he!...“ i powtarza je aż do zapamiętania się. Żelazny Bismark z brutalnością junkra powtarzał:

— Zanim ja śmiechem wybuchnę, muszą mych przeciwników wziąść dyabli!... Po tych słowach z ust jego dawało się słyszeć charczące i „bulkoczące“: „ho! ho!“ które się kończyło fragmentem śmiechu nerwowego. Zmarła cesarzowa Elżbieta nigdy się serdecznie nie śmiała, tylko śmiech jej był cichym i miał w sobie istotnie coś z ukrywanego tragizmu. Ciekawą co do śmiechu swoją drogą jest królowa Wiktorya. Zanim się zaśmieje, brwi podnosi jakby z wytężeniem, sznuruje usta i daje się słyszeć z urywanemi salwami wesołości. Kiedy jej dostojnym ustom zbierze się na śmiech w czasie przedstawienia w teatrze, aktorzy muszą z dalszą grą na scenie wstrzymać się tak długo, póki królowa Wiktorya śmiać się nie przestanie; nie chce bowiem stracić wśród tego ani jednego momentu gry, ani jednego słowa. Takby wyglądał śmiech głów koronowanych.

Pamiętać jednak należy, że do śmiechu mają równie prawo i ludzie ubodzy, zwykli śmiertelnicy. U jednych śmiech, jest wypoczynkiem po troskach i niepowodzeniach, u innych pełnym przymusu grymasem. Aktorki sztukę śmiania się doprowadzają do artyzmu, aktorzy są w niej mniej zręczni. Z tem wszystkiem nie można zapomnieć, gdy mowa o śmiechu o rzeczy jednej.

Oto, jeśli śmiech przybiera takie rozmaite formy i postacie, to drugi jego biegun przeciwległy, symbol smutku, łza, jest zawsze jednakową, ciężką, słoną i żłobi na twarzy bruzdy smutne, budzące współczucie nie tak jak bruzdy śmiechu, które są figlarne, lekkie, jakby echa minionej wesołości, rozkosznego rozbawienia....

Delta.

Złote myśli.

Nie zmartwi mnie najostrzejsza krytyka; mam bowiem w pamięci zdanie bankiera warszawskiego: „Albo to ja jestem dukatem holenderskim, bym się miał wszystkim podobać.“

Tomasz hr. Potocki.

* * *

Geniusz nie zna, co sposobność; on sobie stwarza pole działania swojego. Wyrzekanie na brak sposobności jest ukrywaniem własnej niemocy.

Józef Kremer.

CZĘŚĆ DRUGA.

KRWAWY CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał

J. Dzierzkowski.

Partyzanci.

Po jego odejściu markiza nie opuszczał niepokój.

Order! order! — powtarzał chodząc po sali przodków, których ani jedno wybałuszone oko na widok całej tej sceny nie mrugnęło z oburzenia, — order! order! Toby mi piękny zrobił podarunek!... W tych czasach order! Przeklęty Moskal, popsuł mi humor do samego wieczora!... Wolałbym teraz, żeby zapomniano, że mam ordery....

Po kilku minutach zaledwie zdołał markiz opanować nareszcie swoje wzruszenie. Zapomniał o orderze, inne weselsze myśli nasuwać mu się zaczęły.

— Jużciż tego com zrobił, żaden rozsądny patryota za złe wziąćby mi nie mógł. Zrobiłem nawet przysługę powstaniu, mimowolną, ale zrobiłem. Gdy tutaj przyjdą cztery pułki, to ich nie będzie tam, gdzie się biją i łatwiej będzie walczyć, a tutaj nie będzie powstania i ja będę spokojny. Myślałem o własnym interesie, a zrobiłem zarazem i dla sprawy narodowej interes. Znać zaraz, żem dyplomata.... Żeby tylko poszli za moją radą!

Tak markiz uspokoił swoje sumienie i gdyby go w tej chwili zagadnięto o jego uczucia narodowe, mógłby był przysiądz, że jest prawdziwym patryotą, ale patryotą z głębszym dyplomatycznym zmysłem....

A syn jego w innej części pałacu składał w tej chwili inne nie mniej wymowne swego patryotyzmu dowody; przyjmował tajemniczego gościa.

Tajemniczym gościem, którego przyjmował, był poborca podatku narodowego, jeden z tych kwestarzy sprawy ogólnej, którzy przyjęli na siebie część zadania, trudniejszą pewno i drażliwszą dla niejednego od narażania się na moskiewską kulę. Był to człowiek młody, pełen zapału i wiary w powodzenie słusznej sprawy, wiary połączonej z przekonaniem, że jemu osobiście nie doczekać pomyślnego jej końca.

Takich młodzieńców, przekonanych naprzód, że wiążąc się z ruchem zaręczali się ze śmiercią, było dosyć w owej epoce i nie znaliśmy żadnego z nich, któregoby ślub z tą posępną oblubienicą ominął. Rzecz dziwna, tacy właśnie najsilniej w zwycięstwo wierzyli, tacy najbardziej byli ślepi na najwyraźniejsze szanse przegranej.

Gość byłego kamerjunkra miał w twarzy wyraz, jakimś odcieniem smutku nacechowanej powagi. Wysoki, brunet ciemny, blady i biały, słaby, jakby przedwcześnie rozwiniętej i zbyt rozbujałej budowy, dwudziesto-kilko letni zaledwie, chociaż się stósownie do zmian fizyognomii podczas rozmowy raz trochę starszym, drugi raz trochę młodszym wydawał, miał coś konspiratorskiego w swojej postawie, przynajmniej pan Artur mówił sobie w duchu, że poznałby w nim konspiratora, gdyby go zobaczył między setką najlojalniejszych.

Ta uwaga w myśli zrobiona była powodem, że były kamerjunkier z niejaką obawą patrzył na swego gościa i byłby go traktował bardzo uprzejmie, choćby tak nawet nie wypadało z ułożonego w domu markiza politycznego programu.

— Zaprosiłem pana do siebie, — rzekł, gdy mu gość powód przybycia objawił i pełnomocnictwo swoje okazał, — chociaż właściwie ojciec jest jedynym zarządcą naszego rodzinnego mienia, sądzę jednak że sprawa źle na tem nie wyjdzie... Starszym trudno się dziwić, że są nawet i w takich rzeczach rachunkowi, ale my młodzi, — dodał śledząc uważnie wrażenia jakie jego słowa na nieznajomym robiły, — myśmy dla sprawy gotowi oddać wszystko, nieprawdaż panie?...

— Tak przynajmniej być powinno, — odpowiedział nieznajomy, — na kimże sprawa ma stać jeżeli nie na młodzieży? Na tych co się przeżyli nie ostoi się pewno, zresztą oni w młodości dług swój spłacili, teraz nam od nich tylko rady i środków materyalnych potrzeba. Pański ojciec...

— Mój ojciec, panie, spłacił już dług ojczyźnie, tak, spłacił — przerwał szybko kamerjunkier — teraz na mnie kolej, i ja go spłacę... Zostaję w bezpośrednich stosunkach z Warszawą i tam już moją ofiarę złożyłem, ale to była moja osobista ofiara... teraz kolej na ojca. Biorę na siebie wszystko, choćby się rozgniewał o to co zrobię. Czy panu oznaczono kwotę, jakiej masz żądać od nas?...

— Nie... na pierwsze potrzeby ruchu wystarczy dobrowolna ofiara od takich, którzy myślą jak pan.

— O! to pewne, że wystarczyłaby, gdyby takich było wielu, odpowiedział pan Artur i dodał szybko: — Wiesz pan co... ja się w podobnych rzeczach nie targuję... daję po sto rubli z każdej naszej posiadłości, to jest z Łaszczyniec Wielkich i Małych i z Gradowiec, bo reszta to tylko nomenklatury niesamoistne, właściwie nic nie przynoszące... Razem rubli trzysta?... czy zgoda?

Poborca zrobił dziwną minę, której znaczenia były kamerjunkier odgadnąć wcale nie usiłował, a nawet udał, że jej nie spostrzega. Wziął skwapliwie milczenie za potwierdzenie i powtórzył:

— A zatem trzysta... wierzaj mi pan, że tak jesteśmy darci przez Moskali, — wymawiając ten wyraz pan Artur obejrzał się instynktownie z jakimś niepokojem, — tak jesteśmy wysysani, że nie wiem czy w całym domu znalazłoby się o wiele więcej gotówki... Ale któżby nie oddał ostatniej koszuli, żeby się pozbyć tych pijawek?

Poborca milczał. Ex-kamerjunkier zbliżył się do eleganckiego biurka stojącego w rogu pokoju i wysuwając jedną z jego szufladek dodał jeszcze:

— Więc trzysta... a z Zaskala pięćdziesiąt...

— Z Zaskala? — powtórzył poborca z niejakiem zdziwieniem.

— Pan Artur wziął to zdziwienie nie w takiem znaczeniu, jakie miało rzeczywiście, poprawił się zatem i rzekł:

— Chciałem powiedzieć sto... razem czterysta.

— Dziś właśnie będąc w Gradowcach — rzekł nieznajomy — otrzymałem z Zaskala tysiąc rubli od dziedziczki tej wioski...

— Tak jest, — odparł szybko, jąkając się cokolwiek pan Artur, — od pani Wydrzyny, „byłej“ dziedziczki. Są to stosunki majątkowe, o których wiele byłoby mówić. Rotmistrz Gradowski — „sprzedając“ Zaskale memu ojcu, — pozostawił swej córce z ceny szacunkowej pewną sumę na takie cele... Pani Wydrowa czy Wydrzyna... *je ne sais pas au juste comment doit-on l'appeler...* spełnia jego wolę... Mój ojciec przecież nie może się uchylać od patryotycznego obowiązku, jako tabularny i faktyczny dziedzic Zaskala, i sądzę, że pani Wydrzyna nic nie będzie miała przeciwko temu... Zatem czterysta....

To mówiąc były kamerjunkier posunął ku nieznajomemu cztery asygnaty tęczowej barwy.

Poborca napisał kwit podwójny, odciął jedną połowę, drugą przy sobie pozostawił na dowód, do wyrachowania się przed tymi, którym obowiązany był złożyć pieniądze, i wręczył odcięte pismo dziedzicowi świetnego imienia markiza de Ketteler...

— Mam do pana jeszcze jedną prośbę, — rzekł do niego wówczas ex-kamerjunkier z niejakim wahaniem.

— Słucham.

— Pan masz przy sobie zapewne blankiety, której z władz narodowych... więc możebyś pan... ot tak... dla spokoju mojego ojca... na przypadek, gdyby się wydało... gdyby przy takiej rewizyi ten kwit u nas znaleziono... napisał na nim upomnienie bardzo surowe, że ofiary narodowej nie składa i rozkaz, aby pod karą śmierci zapłacił z Łaszczyniec, Gradowiec i Zaskala...

— Ależ obywatelu, — oburzył się poborca, — wszakże to najdobrowolniejsza ofiara, przymusowej w tej chwili żądać nie mam prawa.

— Wiem o tem... ale taki rozkaz to dla pana drobnostka, bagatela, a ojca mego uspokoi... przyznam się panu nawet, że to jest potrzebne dla sprawy... taki rozkaz to patent na lojalność... pokazawszy go jenerał-gubernatorowi można pozyskać jego zaufanie i niejedną wiadomość pożyteczną dla sprawy z niego wydobyć. Czy pan sądzisz, że obok walki z bronią w ręku nie jest potrzebną walka podstępem i intrygą?

Jeżeli pochwycimy ich tajemnice, to więcej nieraz znaczy niż gdybyśmy bitwę wygrali...

Poborca ofiary narodowej nie mógł jakoś zrozumieć tej dyplomacyi i długo jeszcze były kamerjunkier mówić musiał w tym duchu, nim go przekonał. W końcu jednak mógł powinszować sukcesu swej wymowie, bo otrzymał żądany dokument.

— Wszak pan zostaniesz u nas na obiedzie i na noc, — rzekł wówczas do nieznajomego.

— Nie, panie, prosiłbym o konie... spieszę dalej.

— Dokąd pana odwieźć?

— Do Zahajpolszczyzny.

— Do tych biedaków?... cóż oni dadzą?...

— Ba! — odpowiedział z przekąsem niejakim poborca, — dziedzice, którzy nie są dziedzicami dają czasem dziesięćkroć więcej od dziedziców tabularnych i faktycznych...

Były kamerjunkier musiał nie słyszeć tych słów, bo podczas gdy były mówione bardzo pilnie strzepywał popiół, który mu opadł z papierosa na kolano.

III.

Wieczorem tegoż dnia syn i ojciec, jak na ojca i syna przystało, zdawali sobie wzajem sprawę z swoich zabiegów dla dobra ojczyzny.

Pan Artur dowiedział się o rezultacie rozmowy z Pawłem Onufryjewiczem, markiz o rozkazie pod karą śmierci i o czterystu rublach, złożonych jego imieniem na ołtarzu ojczyzny.

— Cóż, kontent jesteś ze mnie? — zapytał markiz, klepiąc się z zadowoleniem po brzuszku.

— A ty ojcze ze mnie? — odrzekł syn.

— Ja z ciebie nie tak bardzo... czterysta rubli jak w błoto wpadło... mogłeś był na trzystu poprzestać.

— Ale Zaskale.

— Jakie Zaskale? co Zaskale?... czy myślisz może, że oni wygrają i że potem za pomocą tego kwitu będziemy mogli...

Tu markiz urwał dyplomatycznie. Nie potrzebował kończyć — wybornie rozumieli się z synem.

O tem nie myślę... idzie mi tylko o dobro naszego kuzyna, rotmistrza, — odrzekł syn ze złośliwym uśmiechem; — gdyby kiedy za jego grzechy chciano konfiskować tę wioskę, to możemy powiedzieć: widzicie, sam rząd podziemny, który pewno nie chciałby krzywdy tych, co za niego przejechali się na Sybir, uznaje nas właścicielami, grozi nam śmiercią...

— Rozumiem... ale po co ta groźba, ten papier?...

— Zgadnij, ojcze.

— Poczekaj, pomyślę.

Interesująco wyglądał pan markiz kiedy chciał na poczekaniu o czem pomyśleć. Głowa jego cofała się wówczas w tył, ale zapominała zabrać z sobą podbródka, skutkiem czego otwierały się usta, a twarz zwykle szersza niż dłuższa, stawała się okrągłą jak księżyc w pełni. Powieki robiły wszelkie możebne wysilenia, ażeby przykryć wybałuszone oczy. Ręka prawa wznosiła się do góry, wskazujący palec wypełniał ważną misyę wskazywania w sufit, a brzuszek i piersi wznosiły się wysoko i opadały na dół ciężkim oddechem. Myślenie na poczekaniu należało tym sposobem do najmozolnieszych funkcyi fizyologicznych w organizmie pana de Ketteler.

W takiej pozycyi pozostał nasz markiz przez chwil kilka, poczem zwolna powrócił do naturalnej postawy i opuszczając na dół palec wskazujący, rzekł ze zwykłą sobie powagą:

— Wyobraź sobie, nie mogę się domyśleć.

Tak się najczęściej kończyło „myślenie na poczekaniu“ pana markiza.

Syn, który nieraz widywał podobne zadumy swego rodzica, przypatrywał się tej milczącej scenie z uśmiechem, a gdy ojciec przyznał nareszcie, że jego domyślność jest bezsilną, rzekł:

— I żebyś ojciec sto lat myślał, tobyś się nie domyślił... na to trzeba takiej głowy jak moja.

— Więc powiedz, — rzekł z skromnością cechującą ojców, którzy już do pewnego stopnia przywykli, żeby im imponowali synowie.

— Naturalnie że powiem, — śmiał się pan Artur — za pomocą tej groźby dostanę tajną misyę zagranicę od tajemnego rządu.

— Oh! oh!

— Załóż się ojcze, że tak będzie.

— Ba! skoro się zakładasz, to musisz być pewny; a kiedy tak, to ja ci powiem, że ty jesteś wielki, Arturze.

I oko rodzica z nieudanem zadowoleniem spoczęło na twarzy syna.

Pan Artur przyjął pochwałę jako hołd należny swojej wielkości, ale skromny nad spodziewanie nie myślał sobie przypisywać całej zasługi.

— No, przyznać trzeba — rzekł, — że i ojciec mi trochę dopomogłeś...

— Ja? zawołał markiz z wyrazem przyjemnego zdziwienia.

— Tak jest, ty ojcze... ten interes z Flidersem przyda mi się do mego planu.

Twarz markiza wyrażała ciekawość. Wyrażała jak mogła, wiadomo bowiem, że niełatwo jej było coś wyrażać. Wydęte usta ułożyły się już do wymówienia litery o, nos poszedł w górę tak, że z poziomem tworzył kąt czterdziestu pięciu stopni, oczy usiłowały się przymrużyć. — Wszystko to przecież musiało coś wyrażać, a że w danej chwili nic innego wyrażać nie mogło, więc musiało wyrażać ciekawość, jakim sposobem interes z Flidersem mógł się przydać do planów syna.

— Przedewszystkiem — mówił syn dalej — musimy się postarać o to, żeby u nas w domu była rewizya. Rewizya, widzi ojciec, to dowód, że nas rząd podejrzewa i że tamci ufać nam mogą.

— Dyplomata z ciebie — rzekł ojciec,

— Nie starałbym się o dyplomatyczną misyę, gdybym nie był dyplomatą, — odpowiedział pan Artur, muskając wąsa z głębokiem wewnętrznem zadowoleniem.

— Rewizya... nietrudno postarać się o to, — rzekł po chwili ojciec, — no i naturalnie nie znajdą nic.

— Owszem znajdą...

— Oh! oh! ja widzę, żeś ty gotów nawet mnie narazić, żeby się tylko twoje plany udały.

— Nie obawiaj się ojcze, nie narażę cię wcale. Nie znajdą kwitu na odczepne, które dać przecież musiałem, ale znajdą ten rozkaz... pod karą śmierci...

— Brawo — zawołał markiz klaskając w ręce — teraz już wszystko rozumiem... doskonale rozumiem... ty jesteś dyplomata, powtarzam, ty jesteś wielki dyplomata, Arturze... tyś Metternich... i gdybym nie był twoim ojcem, chciałbym być tobą. Wszystko doskonale rozumiem. Ja potem jadę do gubernatora usprawiedliwić się n by z tego znalezionego pisma rewolucyjnego. Naturalnie nic mi nie zrobią, owszem pochwalę się, że mimo groźby tak okropnej nic nie daję i nic nie dam. Wytłumaczę jenerał gubernatorowi, że rząd byłby bez serca, gdyby mi dalej kwestyonował własność Zaskala..... Jeżeli będzie trzeba posmaruję i uznają tę sprawę za ubitą. Miałeś rozum, że i w tym rozkazie postarałeś się, żeby o Zaskalu była wzmianka. Wyborny plan!

— Tak... ale nie cały jeszcze.

— Nie cały?... czegóż mu brakuje? — zapytał markiz zdziwiony.

— Najważniejszej rzeczy. Nie ma w tem wcale jeszcze misji tajemnej dla mnie.

— Prawda... masz słuszność — rzekł markiz spostrzegając znowu, że jego domyślność ma bardzo skromne granice, — w istocie nie ma w tem jeszcze tej misji tajemnej dla ciebie.

— Otoż jest, — rzekł pan Artur stanowczo. — Natychmiast po twym powrocie do Łaszczyniec jadę do Kamieńca i zawiadamiam naczelnika wojewódzkiego organizacyi, że Fliders podał taki a taki donos do gubernatora, że gubernator nabrał do ciebie takiego zaufania wskutek znalezionego rozkazu, a nieznalezionego kwitu, że się z tem przed tobą wygadał, iż będzie się starał u rządu o najsilniejsze obsadzenie wojskiem tej okolicy. Wiadomość taka to ogromna przysługa dla powstania, przyjmę ją z zachwytem, rzecz niewątpliwa. Potem dodam, że wyciągnąwszy gubernatora na słówko dowiedziałeś się jeszcze innych rzeczy, które tylko wyższym sferom organizacyi warszawskiej powierzyć można. Naczelnik wojewódzki skomunikuje mnie z Warszawą, a jak się tylko raz z nimi zetknę, to już moja rzecz, żebym swojego celu dopiął.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pod maską.

Tłumaczone z angielskiego przez J. P.

(Ciąg dalszy.)

— Sama doprawdy nie wiem, odrzekła Helenka siląc się na uśmiech.

— Spróbuj być szczęśliwą, mówiła Janina dalej, tyle miłości otacza ciebie, a my wszyscy nie mamy gorętszego życzenia, jak przywieźć cię do domu zdrową i wesołą!

— Kłamstwo, kłamstwo, pomyślała Helenka. Wszakże ja jestem jedyną przeszkodą do jej szczęścia.

— Dziękuję ci, rzekła głośno, ale nie obawiajcie się niczego. Mam nadzieję, że wkrótce będę zupełnie zdrową.

— Chwała Bogu! A teraz pozwól mi usiąść przy tobie — rozmawiajmy trochę, abyś zapomniała tych przykrych myśli, które ci życie zatruwają.

Przyniosła Helence wygodne krzesło, poduszki i derki, ułożyła i okryła ją starannie i zaczęła jej opowiadać o Sycylii i Tunisie. Ale Helenka pozostała milczącą i zadumaną, tak że Janina wnet uczuła się zbyteczną. Wzięła więc książkę i przeszła na drugą stronę pokładu, nie czytając jednak, śledziła uważnie każdy ruch młodej kobiety.

ROZDZIAŁ SZESNASTY.

Noc zapadła, a Helenka jeszcze siedziała na tem samem miejscu i wpatrywała się w wodę. Artur i Janina prosili ją kilkakrotnie, aby się udała na spoczynek, ale ona odmawiała stanowczo. Dziwne myśli zajmowały ją w tej ciszy nocnej. —

Nagle powstał na parowcu wielki popłoch. Najgorsze, co okręt na otwartem morzu spotkać może, stało się tutaj, otóż wybuchnął ogień, i wszyscy podróżni uważali się za zgubionych. Kilka beczek oleju zaczęło się palić, ogień szerzył się szybko, tak, że w pierwszej chwili sądzono, że już nie ma ratunku! Jakaż sprzeczność pomiędzy rozhukanym żywiołem, a spokojem przyrody i gwiaździstem pogodnem niebem.

Helenka wiedziała, jakie niebezpieczeństwo im grozi. Artur i Janina stali obok niej.

— Ty najpierw musisz być ocaloną! — zawołała Janina. — Boże wielki, cóżby rodzice twoi powiedzieli, gdyby przeczuwali, co się tutaj dzieje!

Kapitan starał się uspokoić przerażonych pasażerów. Zapewniał uroczyście, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, że trzy łodzie wystarczą, aby wszystkich ocalić. Morze jest zupełnie spokojne, Messyna niedaleko, a zresztą mnóstwo parowców ciągle tędy przejeżdża.

Lord Chesley skinął na jednego z majtków i Helenka słyszała, jak mówił do niego, wskazując na Janinę:

— Staraj się o to, aby ta dama otrzymała miejsce w pierwszej łodzi, moją żoną zajmę się sam. Otrzymasz hojne wynagrodzenie, tylko nie zapomnij o tem, co ci powiedziałem.

Dym był tak gęsty, że można było z trudnością rozpoznać osoby najbliżej stojące, raz po raz tylko rzucały płomienie słaby odblask na ludzi, czekających niecierpliwie na spuszczenie łodzi.

— Helenko — rzekł Artur do żony — o Janinę nie miej strachu, poleciłem ją opiece tego majtka, ciebie zaś ja sam przeniosę do łodzi. Poczekaj tylko chwilę, pobiegnę po pieniądze. Ale nie ruszaj się z miejsca, dym jest tak gęsty, a hałas taki, że człowiek własnych słów nieomal nie słyszy. Poznam cię po twej niebieskiej welonce i po czerwonym szalu.

Helenka podniosła głowę i spojrzała smutnie na niego.

— Pocałuj mnie, Arturze! — szepnęła.

Artur pochylił się i pocałował bladą jej twarzyczkę.

— Nie obawiaj się niczego — rzekł — żadne niebezpieczeństwo nam nie grozi, bo morze zupełnie jest spokojne i za godzinę będziemy w Messynie.

Zaledwie się oddalił, zbliżyła się Helenka do majtka, któremu Artur polecił czuwać nad Janiną.

— Nie potrzebujecie się już tą panią opiekować — rzekła — mój mąż sam zajmie się nią.

I majtek otrzymawszy złoty pieniądz, odszedł zadowolony.

Potem zwróciła się Helenka do Janiny.

— Boisz się Janiu? — szepnęła.

— O ciebie tylko! — odrzekła młoda dziewczyna. — Dzięki Bogu, że twoi rodzice nie wiedzą, w jakiem niebezpieczeństwie się znajdujesz!

Nagle rozległy się przerażające krzyki — ogień zajął pokład i wszyscy w najwyższym popłochu zdążali ku łodziom.

— Nie odchodź ztąd — wołała Janina, chwytając rękę Helenki.

— Muszę — brzmiała odpowiedź lady Chesley — muszę iść tam, gdzie Artur mi czekać na siebie kazał. Ty zostań tutaj, Janiu! Ale jeżeli chcesz mi wielką wyświadczyć przysługę, to weź mój szal i welonkę, która mi zawadza!

Mówiąc to, zerwała szybkim ruchem welonkę z twarzy, zarzuciła ją na twarz Janiny i zawiązała mocno na kapeluszu, poczem podała jej swój szal czerwony, ostatni dar ojca.

— Artur przeniesie najpierw mnie do łodzi, potem ciebie — dodała i pobiegła dalej.

Kilka minut później zawalił się maszt z ogłuszającym trzaskiem, płomień buchnął olbrzymim słupem do góry, i zamieszanie doszło do najwyższego stopnia. Kupcy krzyczeli i rzucali się, jak obłąkani. Janina czuła się pochwyconą w dwa silne ramiona, a zaraz potem stanęła bezpiecznie w łodzi, w której znajdowało się już kilka pań i całe grono dzieci. Artur będąc pewnym, że ocalił Helenkę, wrócił na okręt, aby szukać Janiny.

— Ta pani też już w łodzi — odrzekł majtek na jego pytanie. Niesumienny człowiek zamilczał o tem, że niedotrzymał słowa, wziął pieniądze, jakie mu Artur wręczył, i cieszył się z łatwego zarobku.

Łodzie, w których siedziały kobiety i dzieci, dobiły najpierw do brzegu. Daremnie oglądała się Janina za Helenką, daremnie biegała tu i tam, wołając jej imienia.

— Lady Chesley będzie zapewne w ostatniej łodzi, — pocieszał ją jeden z pasażerów.

Ale ostatnia łódź przybyła — a w niej oprócz kilkunastu mężczyzn, Artur sam — bez Helenki!

— Dzięki Bogu! — rzekł — że pani jesteś! Szukałem cię na okręcie, mówiono mi bowiem, że jesteś tam jeszcze.

— Ale gdzie Helenka! — krzyknęła przerażona. — Na Boga, gdzie Helenka!

— Przecież ona musi tu być! — odrzekł zdumiony. — Sam zaniosłem ją do łodzi!

— Nie, nie, to ja byłam! Pan mnie ocaliłeś!

— Ale ja pani wcale nie widziałem! Cóż to, Boże wielki! Pani masz jej welonkę i szal...

Janina wyjaśniła mu wszystko w kilku słowach. Spojrzeli na siebie w niemem przerażeniu, podczas kiedy w około nich rozlegały się krzyki i płacze.

— Ach, teraz rozumiem! — jękła Janina z rozpaczą. — Helenka poświęciła swoje życie dla mnie!

Lord Chesley ofiarował natychmiast kilku majtkom bajecznie wysoką cenę za to, aby pojechali raz jeszcze do palącego się okrętu i szukali Helenki. Po czterech godzinach wrócili, przysięgając na zbawienie duszy, że przeszukali cały pokład, ale nikogo nie znaleźli. W wodzie także nikogo nie widzieli.

Helenka więc, owa śliczna, młoda kobieta zginęła straszną śmiercią, a Janina i Artur, którzy byliby chętnie poświęcili życie dla niej, stali teraz bezradni i zrozpaczeni, nie mogąc pojąć całego ogromu nieszczęścia, jakie się stało.

— Co ona mówiła, — pytał Artur — oddając ci ten szal?

— Powiedziała mi, że chce iść tam, gdzie na nią czekasz. Myślałam, że znajdujesz się na pokładzie!

— Poszedłem tylko po pieniądze! Bóg moim świadkiem, że chciałem ją ocalić, i że byłem pewnym, że ją ocaliłem!

Oboje w strasznej byli rozpaczy. I teraz myśleli jedynie o stracie, jaką ponieśli. — Artur opłakiwał gorącemi łzami śmierć żony, Janina kuzynki i przyjaciółki, a żadne z nich nie pomyślało nawet ani na chwilę o tem, ze szczęściu ich nic już nie stoi w drodze. Najgorsze jednak czekało jeszcze. Kto miał wrócić do Neapolu i uwiadomić o wszystkiem rodziców?

Okazało się już teraz, że oprócz Helenki więcej jeszcze osób padło ofiarą katastrofy. Dwie panie, Włoszki i czterech

majtków zginęło w płomieniach, a gdy sir John przybył do Messyny, nie był jedynym, który opłakiwał śmierć ukochanej córki. Nieszczęśliwy starzec patrzał na morze, w którego głębiach spoczywał skarb jego najdroższy, a głuchy jęk, jaki się z piersi jego dobył, był niejako ciężkim wyrzutem dla przeznaczenia, które zabierając mu jedyną pociechę, kazało mu żyć dalej z wieczną w sercu rozpaczą.

Gdy wszelkie poszukiwania okazały się daremnemi, postanowili rodzice Helenki wrócić do Suzwold. Ale trwało to bardzo długo, zanim całej wyrzekli się nadziei. Wszakże było możliwem, że obcy jaki okręt, przejeżdżający właśnie, zabrał ją z sobą i zawiózł gdzie daleko w świat, a ona nie miała jeszcze sposobności uwiadomienia o tem męża lub rodziców. Dnie i tygodnie spędzał sir John z żoną w Messynie, dowiadując się na wszystkie strony i ofiarując ogromne sumy za odszukanie zginionej. Ale gdy nic nie pomogło, musieli w końcu uwierzyć, że Helenka znalazła śmierć albo w płomieniach, albo w morzu. Smutnym był ich powrót do domu, mianowicie widok dziecka w żałobnej sukience, wzruszał wszystkich do łez. Zewsząd składano nieszczęśliwej rodzinie dowody serdecznego współczucia, a znajomi, przyjaciele i służba brała szczery udział w ciężkiej stracie państwa Marstone.

Stara klucznica nie chciała w żaden sposób uwierzyć w śmierć Helenki.

— Śnię o niej co noc — mówiła — a zawsze widzę ją zdrową i świeżą. To być nie może, aby umarła!

Ale lady Marstone wiedziała najlepiej, że Helenka nie żyje, bo gdyby żyła, to chociaż byłaby się znajdowała na końcu świata, byłaby mogła do tego czasu dać jakąkolwiek bądź wiadomość o sobie. Pomimo to bywały chwile, że i w jej sercu budziła się dziwna jakaś nadzieja. Gdy nadeszła wiosna i gdy cała pogoda nowe rozpoczęła życie, doznawała biedna takiego uczucia, jak gdyby Helenka każdej chwili miała wrócić. A gdy dzień mijał po dniu, i Helenki widać nie było, wtedy w tem głębszą popadała rozpacz. Piękna, świeża jeszcze dotąd twarz nieszczęśliwej kobiety pokryła się licznemi zmarszczkami, włosy pobielały, a wyniosła jej postać pochyliła się pod ciężarem smutku i boleści. Miłość dla córki wypełniała całe jej życie, nic też więc nie mogło ją teraz już pocieszyć.

Janina poświęciła się całkiem wujostwu i postanowiła ich nigdy nie opuszczać. Lord Chesley kilka dni tylko pozostał w zamku, potem wyjechał do swoich dóbr i zamieszkał w swym nowo urządzonym pałacu. Szukał zajęcia dla oderwania się od smutnych myśli, jakie go dręczyły, a w domu państwa Marstone przypominało mu wszystko zbyt żywo świeżą jego stratę.

Nie mógł zaprzeczyć, że śmierć Helenki cięższym dla niego była ciosem, niż sam przeczuwał, i teraz dopiero poznał, jak miłą i pożądaną była mu obecność tej ślicznej, wesołej promiennej istoty. Chociaż nie kochał jej całą potęgą uczucia, to jednak przywykł do niej, i tęsknił za jej widokiem. Jej gorąca miłość dla niego, troskliwość, śmiech wesoły — wszystko to przedstawiało mu się obecnie w innem, o wiele korzystniejszem świetle. Dawniej nie umiał tego ocenić, dziś, gdy ją stracił, uczuwał głęboko i boleśnie jej stratę. Cieszył się też niezmiernie, że był zawsze dla niej uprzejmym — pod tym chociaż względem nie potrzebował sobie żadnych robić wyrzutów.

Sir John kazał zrobić kopją portretu Helenki i ofiarował ją zięciowi. Artur stał teraz często przed obrazem i wpatrywał się zamyślony w śliczną, uśmiechniętą twarzyczkę. W takich chwilach przepraszał ją za to, że jej nie kochał, i przyrzekał przenieść całą swą miłość na dziecko. Ale i mała Stella nie mogła go pocieszyć, myśl bowiem, że dziecina ma rosnąć bez miłości i opieki matki, przypominała mu na nowo umarłą i przepełniała serce jego głębokim żalem.

Na początku wiosny pojechał do Suzwold. Tęsknił za córeczką i oświadczył państwu Marstone, że pragnie zabrać małą na pewien czas do siebie. Sir John zgodził się na to, przyrzekając, że wkrótce przyjedzie z żoną do niego.

Stella liczyła teraz już dwa lata, i przypominała żywo matkę. Zaczynała wszystko wymawiać, a lord Chesley brał ją ciągle na rękę, pokazywał obraz Helenki i uczył ją mówić: mama.

Nie chciał on, aby w tem małem serduszku zajmował kto miejsce, należne matce — pamięć zmarłej nigdy nie miała wygasnąć i dziecko musiało zawczasu uczyć się kochać ją i szanować.

I gdy ostatnie promienie słońca zachodzącego padały na obraz, i gdy dziecko wyciągało rączki i wołało „mamo“, wtedy zdawało się, że twarz młodej kobiety jaśnieje szczęściem, i Artur odwracał się, aby ukryć łzy, cisnące się do oczu.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY.

Plusk fal, i szmer głosów obudził Helenkę z głębokiego zemdlenia. Z początku nie wiedziała, gdzie jest i co się z nią stało, zwolna jednak przypomniała sobie wszystko.

Ale, gdzie była? Koło jej łóżka siedziała jakaś stara kobieta — nieco dalej mężczyzna, a oboje rozmawiali z sobą po francuzku.

Ostatnie, o czem pamiętała, było to, że stała na pokładzie palącego się parowca, i że spadający maszt uderzył ją w głowę. Co się dalej działo, czy ogień ugaszono, tego już nie wiedziała.

Helenka władała tak biegle językiem francuzkim, że nikt nie byłby poznał w niej Angielki. Zwróciła się więc do starej kobiety z zapytaniem, gdzie się właściwie znajduje.

— Na okręcie „Ptak“, madame — odrzekła uprzejmie zapytana. — Nie obawiaj się pani niczego, jesteś tutaj zupełnie bezpieczną.

— Ale jakim sposobem przyszłam tu? Nie mogę sobie tego przypomnieć. Głowa mnie boli i...

— Ja też nie wiele wiem — przerwała Francuzka. — Zabrano panią na naszą łódź, a byłaś przywiązaną do deski, jakiś majtek trzymał panią, ale on biedny utonął.

Helenka usiłowała zebrać myśli. Pamiętała, że dała Janinie swój szal i welonkę i że się oddaliła z miejsca, na którem Artur kazał czekać na siebie. Nie chciała ona popełniać samobójstwa, ale jedynem jej życzeniem było, aby Artur najpierw Janinę ocalił, potem dopiero chciała pomyśleć o sobie. Nagle spadł maszt, a kawał drzewa uderzył ją tak silnie w głowę, że od razu straciła przytomność. W ogólnym, szalonym popłochu nikt na nią nie uważał i tak leżała biedna, zemdlona i zraniona, bez ratunku i pomocy.

Nikt nie wiedział, co się z nią stało. Łodzie odbiły od parowca, gdy jeden z majtków, którzy się nieco spóźnili i którzy się teraz ratować musieli, ujrzał nieprzytomną.

— Wszakże to ta piękna angielska pani — pomyślał — widać, że zapomnieli o niej. Jeżeli ją uratuję, to zapłacą mi dobrze.

— Przywiązał więc Helenkę do deski, spuścił ją ostrożnie do wody i płynąc, popychał ją lekko przed sobą. Rana na głowie zemdlonej dosyć była głęboką i krew sączyła z niej obficie, ale majtek wiedział, że Helenka żyje i nie tracił nadzieji ocalenia jej i siebie. Morze było spokojne, gwiazdy jasno świeciły, a deska płynęła dalej z swoim lekkim ciężarem. Po upływie dwóch godzin ujrzał majtek przejeżdżający okręt francuzki, załoga spostrzegła go także i wysłano natychmiast łódź na ratunek rozbitków. Ale teraz stała się rzecz niezwykła — zaledwie zdołano majtka przenieść do łodzi, gdy biedak, zmęczony zbyt pewnie długiem pływaniem, umarł rażony paraliżem. Stało się to tak nagle, że nie zdążył nawet powiedzieć, jak się nazywa i kim jest owa kobieta, którą starał się ocalić.

Na okręcie „Ptak“ nie wiele było pasażerów, był to bowiem statek towarowy. Jakaś stara Francuzka zajęła się Helenką, przywołała lekarza, który przypadkiem także się tam znajdował i zaopatrzywszy jej ranę na głowie, siedzieli teraz oboje przy łóżku, czekając niecierpliwie na obudzenie się zemdlonej.

Helenka była za słabą do rozmowy. Milcząc, wypiła trochę herbaty, leżała cicho z zamkniętemi oczami i próbowała zebrać rozproszone myśli. Potem usnęła mocno, a gdy się zbudziła, ujrzała się zupełnie samą w kajucie swej opiekunki. I teraz to dojrzało w jej głowie postanowienie, którego wykonanie miało jej później tyle cierpień sprawić. Nikt jej tu nie znał, nikt nie wiedział skąd przybyła — dla swej rodziny była umarłą i odciętą od świata, w którym dotychczas żyła!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nasze illustracye.

(Bitwa pod Chocimem.)

Sobieski należy do najznakomitszych i najsławniejszych królów polskich. Imię jego jest tak dobrze znane w Polsce, jak i w całej Europie. Sławę tę sobie zjednał wiekopomną obroną Wiednia, przez co zasłużył się całemu chrześcijaństwu.

Sobieski już za panowania Jana Kazimierza odznaczył się świetnemi czynami. Zaprawiał się w sztuce wojskowej pod okiem Czarnieckiego, od którego nauczył się wytrwałości i odbywania nadzwyczaj szybkich poruszeń. Odznaczył się szczególnie Sobieski w bitwach przeciw Kozakom i Moskalom pod Lubartowem, Słobodyszczami i Cudnowem, wskutek których wojsko Jerzego Chmielnickiego, wynoszące 70,000 żołnierzy, rozbite, a wódz moskiewski Szeremetiew z całem wojskiem dostał się do niewoli. Za to został Sobieski mianowany hetmanem polnym koronnym i wielkim marszałkiem koronnym.

Kiedy Kozacy poddali się Turcyi, wpadło 1665 r. do Polski 80,000 Tatarów z kilkunastu tysiącami Turków i Kozaków. Trwoga padła na cały naród. Żołnierze polscy bić się nie chcieli, gdyż Rzeczpospolita była im winna 2 miliony złotych zaległego żołdu. Zdawało się, że już się zbliża koniec Polski. Sobieski z wielką biedą wystawił 20,000 żołnierzy, którym z własnej kieszeni dał zadatek. Nie mógł stawić czoła wrogom, liczącym 100,000 wojaków, przeto okopał się w miasteczku Podhajcach, aby wstrzymać napad Tatarów w głąb Polski. Zostawił sobie tylko 5000 piechoty, a jazdę wysłał w różne strony, wyznaczywszy pewien dzień, kiedy miała przybyć. Przez szesnaście dni Kozacy i Tatarzy czynili niesłychane wysilenia, aby znieść szczupły oddział, ale ich wściekłe szturmy odbijały się o mężne piersi Polaków, niby o mur ze stali. Po 16 dniach wystąpił Sobieski w otwarte pole, a w tem zbliża się jazda polska. Nieprzyjaciel wzięty w dwa ognie, haniebnie uciekał. Polacy tak zabijali zażarcie wrogów, że im ręce słabły ze znużenia.

Niedługo zwaliła się na Polskę straszniejsza potęga, gdyż sułtan turecki Mahomet IV na czele 240,000 żołnierzy i z 340 działami wkroczył do naszego kraju. Takie już wówczas panowało w narodzie rozerwanie, że Mikołaj Potocki wolał twierdzę Kamieniec, uważaną za niezdobytą, poddać raczej Turkom, aniżeli przyjąć pomoc od Sobieskiego. Była to straszna klęska, gdyż Kamieniec zasłaniał Polskę od najazdów. Sobieski, mając nader szczupłe wojsko, niepokoił nieprzyjaciela drobnemi walkami. W bitwach pod Krasnobrodem, Narolem, Łabaczowem, Niemirowem, Komarnem, Samborem, Kałuszem i Bednarowem odbił z niewoli tatarskiej 60,000 Polaków i Polek. Nie mógł jednakże Sobieski odeprzeć Turków, gdyż szlachta zamiast bić się, wolała bawić się krzykactwem, a król Michał zawarł sromotny pokój z Turkami w Buczaczu 1673 r.

Przecież jeszcze nie upadli wówczas tak nizko Polacy, aby ugiąć szyję pod jarzmo. Sejm nie potwierdził ugody buczackiej, uchwalając wojnę przeciw Turkom. Sobieski z wielkim trudem zebrał 30,000 żołnierzy i 40 armat. Na wzór wielkich wodzów nie czekał, aż nieprzyjaciel wpadnie do Polski, ale poszedł go szukać we własnym kraju. Zbliżył się zatem pod Chocim, gdzie stało 80,000 Turków. Polacy stanęli nad rzeką Dniestrem. Było to w Listopadzie. Gęsta kra płynęła na rzece, a tu hetman każe się przeprawiać. Wojsko zaczęło szemrać. Przyszło nieomal do otwartego buntu. Sobieski umiał tak dzielnie zagrzać do boju, że wojsko z chęcią się przeprawiło. Turcy zajmowali obronne stanowisko w dobrze obwarowanym obozie. Sobieski przez całą noc trzymał wojsko pod bronią, a potem rano, kiedy się Turcy najmniej spodziewali, dał rozkaz do boju. Trzeba się było drapać pod strome szańce. Wnet stanęli Polacy na wałach, a zabrawszy armaty, skierowali je taraz na Turków. Z początku zaczęli Turcy pierzchać, ale po małej chwili piechota turecka, zwana jańczarami stawiła zacięty opór. Przełamał ich Jabłonowski na czele husarzy, którzy wszystko w biegu zamiatali. Wkrótce już nie bitwa, ale rzeź straszna się zaczęła. Rozpacz ogarnęła Turków. Szukali w Dniestrze ocalenia, lecz napróżno, gdyż 10,000 żołnierzy się utopiło, a padło 20,000 na pobojowisku, 8,000 zabrano w niewolę, tak że Turcy stracili 40,000 wojska. Oprócz tego zabrali Polacy 120 armat, 60 chorągwi, wielkie zapasy prochu, żywności, koni i wielbłądów. Jest to jedno z najsławniejszych zwycięztw w dziejach naszego narodu. Bitwa pod Chocimem stoczoną była 11 Listopada 1673 r.

Sobieski chciał iść w głąb Turcyi. Byłby odzyskał Ukrainę z Podolem; Multany i Wołoszczyzna byłyby znowu uznały zwierzchnictwo królów polskich, lecz na nieszczęście dnia 10 Listopada umarł Michał Wiśniowiecki, a ze śmiercią króla ustawały w Polsce wszelkie rządowe czynności. Wojsko nie było obowiązane w takim razie słuchać hetmana; zaraz też się Litwini oddalili. Z bólem serca musiał się cofnąć Sobieski. Otóż to skutki obieralności królów i wogóle nierozsądnych ustaw.

Sobieski został w nagrodę zwycięztwa chocimskiego obrany królem 1674 r. Niemiał ani czasu się ukoronować, gdyż sułtan turecki wnet się pokrzepił i z ogromnem wojskiem wpadł do Polski. Nie byłoby się to stało, gdyby był mógł ich Sobieski ścigać po bitwie chocimskiej. Pod Lwowem 1675 r, przyszło do znacznej bitwy, w której król Jan zbił Turków na głowę. Jak dobrze umiał dowodzić Sobieski, świadczy ta okoliczność, że kazał ciurów, tj. obozowych pachołków i służących poprzebierać za husarzy i ustawić na górze, Turcy sądząc, że to prawdziwi husarze, mieli wielki strach przed nimi i dlatego na nich nie uderzali. Tymczasem prawdziwi husarze sprawili Turkom wielką klęskę. Król sam osobiście szedł na nieprzyjaciela, wołając: „Górą Jezus,“ aż też Turcy pierzchnęli, zostawiwszy 15,000 zabitych.

Dnia 2 Lutego 1676 r. odbyła się w Krakowie uroczysta koronacya Sobieskiego i jego małżonki Maryi Kazimiry, która była francuzkiego pochodzenia. Wkrótce po koronacyi wyruszył król do boju, gdyż Turcy znowu Polskę najechali. Turcy walczyli w 80,000 żołnierza a Sobieski miał tylko 10,000. Pod Żórawem 1676 r opasali Turcy ze wszech stron króla z wojskiem, który mocne zajął stanowisko. Umyślnie to uczynił Sobieski, aby wstrzymać Turków od najazdu na Polskę, sądził bowiem, że nie odważą się iść w głąb Polski, gdy w tyle za nimi przebywa król polski.

Stało się tak w rzeczy samej, gdyż Turcy nie posuwali się naprzód. Król oblężony przez kilka tygodni, staczał pomyślne boje, ale w końcu brakło mu amunicyi i żywności. Już w obozie polskim blizką była rozpacz, gdy oto Turcy, którzy wiele od słoty cierpieli, zaczęli się przychylać do pokoju, jakoż zawarto go wkrótce, na mocy którego odstąpili Turcy Polsce połowę Ukrainy. W przykrem położeniu króla był ten pokój nader pomyślnym.

Józef Chociszewski.

Wiadomości.

Na dar Jubileuszowy dla Józefa Chociszewskiego — w myśl odezwy komitetu gnieźnieńskiego, składa wydawnictwo „Pracy 25 mk. (Dalsze składki prosimy odsyłać wprost do Redakcyi „Lecha“ w Gnieźnie. Przyp. Redakcyi „Pracy.“)

Agenturę „Pracy na Królewską Hutę i okolicę otworzyliśmy u pana Szeji w Królewskiej Hucie przy ulicy Heiduka nr. 4-ty, na co zwracamy baczną uwagę Czytelnikom naszym Królewskiej Huty i okolicy. Tamże można zaabonować „Pracę“ od każdego czasu i otrzymać zaległe numera z bieżącego kwartału.

Z teatru. Wieczór ku uczczeniu 25-letniej pracy literackiej genialnego Henryka Sienkiewicza, urządzony w ubiegłą sobotę w teatrze, odbył się z wielką okazałością. Program był bardzo obfity i doborowy, a składał się prócz słowa wstępnego, które wygłosił redaktor „Dziennika Poznańskiego“ pan Krysiak, i wiersza, kończącego wieczór pióra p. profesora Stroki z Krakowa, który wygłosiła pani Wysocka, z samych utworów Jubilata. Teatr był zapełniony, a publiczność oklaskiwała z entuzyazmem każdy numer programu.

Również niedzielne powtórzenie sobotniej uroczystości z pominięciem słowa wstępnego cieszyło się wielkiem powodzeniem.

Uroczystości sobotnia i niedzielna, za których urządzenie należy się wdzięczność i szczere uznanie zabiegliwej, starannej i niestrudzonej w pracy dyrekcyi, były dowodem, że Poznań kocha wielkiego Jubilata i czci go całem sercem.

Odegrana dnia 5-go b. m. na benefis p. Bednarczyka sztuka z francuskiego p. t. „Wiarusy sztandarów“ wypadła ku ogólnemu zadowoleniu publiczności, która się zebrała nie tak licznie, jak się tego spodziewać należało. Artysta utalentowany, bardzo pracowity i powszechnie ceniony, powinien był mieć sukces materyalny daleko większy, moralny bowiem osięgnął zupełnie. Wyborem sztuki dowiódł p. Bednarczyk, że ma smak dobry, a grą, w której główną przedstawiał osobę, kaprala, odznaczał się bardzo korzystnie i zyskiwał co chwila huczne oklaski i brawa. Wdzięczna publiczność obdarzyła też ulubieńca swego wspaniałym wieńcem z dodatkami rozmaitego rodzaju. P. Ryger jako jenerał Rokinger, p. Jakubowski jako Thalburg, p. Berski jako wójt Frosch grali znakomicie. Nie mniej podobały nam się panny Połęcka i Pawłowska jako też p. Kosiński.

Egzamina. Pan Stefan Zborowski, syn radzcostwa Zborowskich z Poznania, złożył w Berlinie egzamin asesorski. — W Dramburgu na Pomorzu złożyli egzamin dojrzałości abituryenci Polacy dnia 22-go zm. Rafał Szałkowski, Leonard Glabisz i Stanisław Stróżewski.

Na inserat pana Marcina Piotrowskiego, dekoratora kościołów w Poznaniu, zwracamy baczną uwagę Przewielebnemu Duchowieństwu i Szanownym Dozorom kościelnym. Pan P. wykonał wiele prac w różnych kościołach ku zupełnemu zadowoleniu, za co otrzymał chlubne świadectwa.

Od Redakcyi.

Panu Fr. B. w Zagórzu (Galicya). Po sztuki teatralne udaj się pan do Księgarni polskiej w Poznaniu, (Tempłowicza) hotel Francuzki.

Panu Janowi G. w Grudziądzu. W tej sprawie poinformuje Pana każdy rowerzysta.

Panu Leonowi S. w Montigny (Lotaryngia). VI rewir policyjny.

Panu Stefanowi H. w Krakowie. „Czytelnię polską“ wysyłać będziemy Panu pod opaską razem z „Pracą“. Za szczerą sympatyę dla „Pracy“ serdecznie dziękujemy.

Panu Benedyktowi B. w Krakowie. „Album Sienkiewicza“ wyjdzie jako zwykły zeszyt „Pracy“. Najlepiej niech sobie zapiszą „Pracę“ i „Czytelnię“ na miejscowej poczcie. Co do zeszytów, które nie nadeszły, to wina poczty, nie nasza; chętniebyśmy je przysłali, ale już zupełnie wyczerpane. Za werbowanie nowych abonentów „Bóg zapłać!“ Vivat sequens!

Panu Apol. St. we Lwowie. Serdecznie dziękujemy — zamieściliśmy na stronie tytułowej.

Panu B. w W. Nie! — Tylko abonentom wysyłamy za przysłaniem kwitu abonamentowego i 10 fenigów na portorium.

Panu Janowi S. w Wrześni, pani Maryi C. w Krośnie i wszystkim innym autorom nadesłanych wierszy: Zamieścimy w miarę możności z powodu wielkiego nawału materyału po świętach.

Panu K. T. w Tarnopolu (Galicya). Prosimy przedewszystkiem wystąpić z otwartą przyłbicą.

Panu M. w Jankowie. Udaj się pan w tej sprawie do „Dyrekcyi akademii krawieckiej w Dreźnie“ po informacye.

Panu Stanisławowi G. w Nowym Sączu. (Galicya). Książkę taką nabyć Pan możesz w Księgarni polskiej (Tempłowicza w Poznaniu) hotel Francuski.

Panu Antoniemu S. w Czercach, (Galicya). Polską szkołę na skrzypce nabyć można w księgarni N. Kamińskiego i Spółki w Poznaniu, św. Marcin 16/17. Kwota nadesłana wystarczy na „Pracę“ i „Czytelnię Polską“ na bieżące ćwierćrocze.

Panu Piotrowi G., C. K. nadżandarmowi w Żabnie, (Galicya). Album Sienkiewicza jako numer „Pracy“ otrzyma każdy abonent. Za nadesłany 1 kr. 16 hal. wysyłać będziemy „Czytelnię Polską“.

Logogryf.*)

(Ułożył Pasikonik ze Środy).

Sylaby:

a, chodź, dwan, i, ka, ka, ki, ko, kon, lin, łu, nik, no, o, pa, ra, ran, szyc, szczep, sta, snyk, wil, za.

Znaczenie wyrazów: 1. Znakomity historyk polski. 2. Największy poeta polski nowszej doby. 3. Zasłużony mąż polski na polu społecznem. 4. Część dawnej Rzeczypospolitej polskiej. 5. Pseudonim znanego współpracownika „Pracy“. 6. Gatunek broni starożytnej. 7. Miasto na Litwie. 8. Góry w Azyi. 9. Powieściopisarz polski. 10. Osoba duchowna.

Początkowe głoski, czytane z góry na dół, tworzą nazwisko sympatycznego poety wielkopolskiego; końcowe czytane z dołu do góry, oznaczają nazwisko zaszczytnie znanej poetki polskiej.

Rozwiązanie szarady z nru 11-go „Pracy“:

„Bohaterzy.“

Sposób rozwiązania:

b
l o t
b o h u n
f i l a r e t
b o h a t e r z y
c y c e r o n
k o r a l
ł z a
y

Dobre rozwiązanie nadesłali:

Z Poznania:

Pp. Mieczysław Bogajski, A. Kandulski, Edmund Tucholski, Bronisława Szmytkowska i Kazimirz Łukowski.

Z prowincyi:

z Wrześni: p. W. Grochowska,
z Obornik: p. M. Wawrzynowiczówna,
z Bojanowa: p. H. Najgrakowska,
z Inowrocławia: p. St. Rybicki,
z Gniezna: p. J. Puciński,
ze Środy: pp. Pasikonik i F.,
z Mogilna: p. J. Bronikowski,
z Łopienna: p. Aniela Dux (nagroda),
z Sulmierzyc: pp. J. i F. Grześkowiak,
ze Zbąszynia: p. P. Kostrzewska,
z Gostynia: p. F. Męk,
z Bożejewa: p. W. Górski,
z Tokarzewa p. Ostrzeszów: p. K. Grabowski,
z Nowejwsi p. Niechanowo: p. K. Puciński,
ze Strzyżewa kościelnego p. Gniezno: p. S. Pietrzak,
z Wojnowic p. Buk: p. M. Giera.

Z Prus Zachodnich:

z Wałycza: p. A. Szyperska,
z Gronowa: p. Z. Schulz.

Z Górnego Ślązka:

z Rozdzienia: pp. J. Badura, J. Loga i K. Pronobis.
z Chroscic: p. M. Skrzypczak,
z Miasteczka: p. J. Nowak.

Z Galicyi:

z Krakowa: pp. Maryan Osiński i Kazimierz Osiński,
ze Lwowa: p. Bronisław Jabłoński,
z Pruchnej: p. Fr. Tepper,
z Tarnowa: pp. St. Strobachowa i Jan Wojnarski,
ze Starego Sambora: pp. Antoni Pisowicz i Marya Stemerowiczówna,

Z obczyzny:

z Chociebuża: p. Kazimira F.

Nagrodę otrzymała przez wylosowanie pani Aniela Dux z Łopienna.

---

*) Przeznaczamy za dobre rozwiązanie jedną nagrodę t. j książkę wartościową. Los rozstrzygnie komu nagroda przyznaną będzie. Rozwiązania przyjmujemy do przewodnicy, dnia 22-go b. m. włącznie. Dla oszczędzenia portoryum prosimy nadsyłać rozwiązania na kartach pocztowych.

Humorystyka.

Jak „Praca“ z Poznania wybawiła Kubę od potępienia.

(Sen Wielkanocny.)

Wesół był Kuba, bo w brzuch pusty,
Schudzony postem, napchał kapusty,
Jaj, kiełbasy, szynki wiele,
Kawał wołu, małe ciele,
Sądek piwa, liter wódki,
A gdy rozum już miał krótki,
Wziął kapelusz, marynarę
Też talarków w kieszeń parę
I dla swej własnej zabawy
Szedł do salonu Kujawy.
Kujawa też, człek usłużny,
Wie, że Kuba nic nie dłużny,
Zaraz w kufle grzecznie leje,
Bo mu z tem się dobrze dzieje,
No... i Kuba mocno spity
Pije jeszcze za monety,
A straciwszy wszystkie fręty
Legł pod ławą spać! urżnięty.
Lecz, że wypił dziś bez miary,
Przed oczyma różne mary
Wkoło kręcą się, i skaczą,
Wymyślają na !adaco,
Że tak święta dziś niedziela,
A on spity tak jak bela,
Aż tu patrzy — djabeł mały,
Wytknął łeb z flachy gorzały.
I śmiejąc się jakoś skrycie,
Mówi Kubie: „Za twe picie
Chodź do piekła! mamy siarkę,
Smoły ciepłej także czarkę,
Rożen długi, ruszt czerwony;“
A gdy Kuba przestraszony
Zaczął mówić modlitewkę,
Nucić świętą jakąś śpiewkę,
Djabeł dziką zrobił minę,
Złapał Kubę za czuprynę
I nim Kuba krzyknął: panie!
Zaniósł go w piekieł otchłanie.
Jezu Chryste! patrzy Kuba,
Włosy na łbie wstały czuba:
Wrzaski, jęki, piski, krzyki,
Wyprawiają tam djabliki.
Djabłów starych wielką zgraję
Sam Lucyper ma nahaję,
Słucha czegoś, i ich liczy,
Niejednego batem ćwiczy,
A gdy ujrzał djabła z Kubą,
Swą piekielną, wielką tubą —
Jak nie ryknie: „Hej, ty mały!
Choć no bliżej, pókiś cały!“
Djabeł kucnął się z przestrachu,
Jak przed starszym na odwachu.
„Najjaśniejszy djable, rzecze:
„Mam tu Kubę w swej opiece.“
„Co znów zrobił?“ stary ryknął,
Aż djabełek kozła fiknął.
„Oświecony Lucyperze,
Powiem zaraz prawdę szczerze:
„W karczmisku u Kujawy,
Wyciągnąłem go z pod ławy;
Wypił naszej dość polewki,
Więc był spity, jak trzy dziewki.“
„Był pi ja-ny? Hej do beczki
Wsadzić w smołę, dać mu sieczki,
Siarki, ognia, sto bizunów,
Nadrzeć dobrze mu kołtunów,
Aby zgasła w nim nadzieja!
Spać ma na łożu Madeja!“
Płacze Kuba, lamentuje,
Jak go djabli męczą, czuje,
Nagle djablik w swoje szpony
Łapie Kubę, lecz sparzony —
Na trzy staje wnet odskoczył,
Bo w kieszeni Kuby zoczył
„Pracy“ jeden zeszyt cały —
W piekle hałas, trzeszczą skały,
„A to „Praca“ aż z „Poznania“,
Coś ty narobił zgorszenia!“
Tak Lucyper strasznie ryczy,
Tłucze djabła i wciąż krzyczy:
„Z tą gazetą, precz mi zara,
Będzie dla was za to kara,
Czy wy zbóje nic nie wiecie?
Że najlepsza jest na świecie?
Ta gazeta?... Ona w biedzie
Do dobrego ludzi wiedzie,
Starych, młodych, nawet dzieci
Swem pisaniem uczy, świeci,
Wiadomości jest bez liku,
Jakby w największym dzienniku,
Ksiądz, adwokat, doktor czyta,
Też robotnik i kobieta,
Chyba zbóje i hulacy,
Nie czytują tej tu „Pracy.“
I dlatego pustki w piekle
I ja się tu nudzę wściekle.
Bo kto ją czyta, ten omija
Nasze piekło, moja szyja,
Że to prawda, tu jest święta,
Piekieł syny? wy bydlęta!
Hej! czemprędzej wyprowadzić,
Tego człeka i wykadzić
Całe piekło, bo się wścieknę
I do boru gdzie ucieknę!“
Więc też djabły, śmiele, ładnie,
Choć ze strachem, ale składnie
Z piekła bryką i matracą
Wywieźli Kubę razem z „Pracą.“
I ocknął się biedny Kuba
Jeszcze kurzy mu się z czuba.
Patrzy gdzie jest, przetarł oczy,
Jak z pod ławy nie wyskoczy
I nie krzyknie: „Chryste Panie!
Dzięki Ci za zmiłowanie,
Gdyby nie ta „Praca“ nasza —
Byłaby już ze mnie kasza!
Dzięki Bogu, że w Poznaniu,
Choć się człowiek stęskni za nią
I choć w tydzień raz wychodzi,
Ale wszystkim nam dogodzi,
A ten numer w tym zeszycie,
Jemu winien jestem życie.“

* * *

No... i Kuba wnet bez zwłoki
Ujął się za zbite boki,
Do domu się zakołysał
I do Redakcyi list napisał:
Wesół bardzo i szczęśliwy,
Dziękował nam, że jest żywy.

Bydgoszcz, d. 15. IV. 1900.

Jan Wiśniewski,
stały abonent „Pracy.“

NADESŁANE.

(Rubryka „Nadesłane“ nie pochodzi od redakcyi, która też za nią odpowiedzialności nie przyjmuje.)

śmierć natychmiastową, a 5 zupełne lub też częściowe inwalidztwo. Z członków zabezpieczonych na kapitał w razie śmierci umarło w tym miesiącu 73. W lutym zawarto nowych zabezpieczeń 7551. Ze zameldowanych poszkodowań przed 1-ym grudnia 1899 r. (włącznie przypadków śmierci i inwalidztwa) tylko jeszcze jest 171 w pertraktacyach.

Firma Fr. Kuhna, fabryka perfumów pod koroną w Norymberdze otrzymała dnia 18-go stycznia r. b. od cesarskiego urzędu patentowego pod nr. 410835 znak ochronny **„Edelweiss-Crême“** na swój znakomity preparat przeciw piegom, wyrzutom skórnym, węgrom i plamom na twarzy. Ostrzega się Szanowną Publiczność przed naśladownictwem.

Zwracamy uwagę Szanownym Czytelnikom na inserat: **Wielka Pilska loterya koni, ekwipaży i t. d.** Loteryę poprzedzą wielkie wyścigi konne, które się odbędą w Pile dnia 22-go b. m. Konie przeznaczone na wylosowanie zakupi komitet loteryjny na jarmarku luksusowym końskim w Pile w dniach 26-ym i 27-ym b. m. Losy po 1 marce, 11 losów za 10 marek są wszędzie do nabycia.

Veni, vidi, vici! Takim to „telegramem“ uwiadomił senat cesarz rzymski Juliusz Cezar przed blisko 2000 laty o odniesionem zwycięztwie nad królem Pharnacesem. Powiadają, iż ów dzielny wojownik, kładąc wieniec z wawrzynu po owej bitwie na głowę i przypatrując się w zwierciadle, wesołym nie był. Pysznemu Rzymianinowi zbywało na pięknym poroście głowy; trapiło go to bardzo tem więcej, iż wyszydzała go Cleopatra; wawrzyńcem wady swej nie mógł przykryć. Co byłby dał Cezar temu, któryby jemu wyjawił taki środek na porost włosów, jakim jest „Javol“. O Javolu śmiało też można powiedzieć: Przybył, użyto go, i zwyciężył wszelkie uprzedzenia. Kto ten znakomity środek chce poznać, niech nie zaniedba i niech spróbuje. Zanuci on wesoło pieśń pochwalną na rzecz „Javolu“.

Sztuka w domu. Ktoby nie dostrzegł z przyjemnością tego, jak wznieca i podnosi się u dzieci zmysł, smak i uczucie przy ocenianiu wyrobów sztuki, jeśli takowe często karty z obrazkami i z reklamą oglądają. Uczą się przez to dzieci poznawać różnice rzeczy lepszych od rzeczy mniej wartościowych. Dlatego też nakładcy takich rzeczy o ulepszenie tychże starać się muszą. Dowodzą tego karty reklamacyjne **firmy C. Lücka w Kołobrzegu, które dla swego miodu zdrowia z ziół i dla swej essencyi życia dr. Fernesta sławnemi są.** Ktoby swym dzieciom chciał sprawić uciechę, niech żąda kolekcyą wspomnianej firmy, którą chętnie **gratis** firma przysyła.